

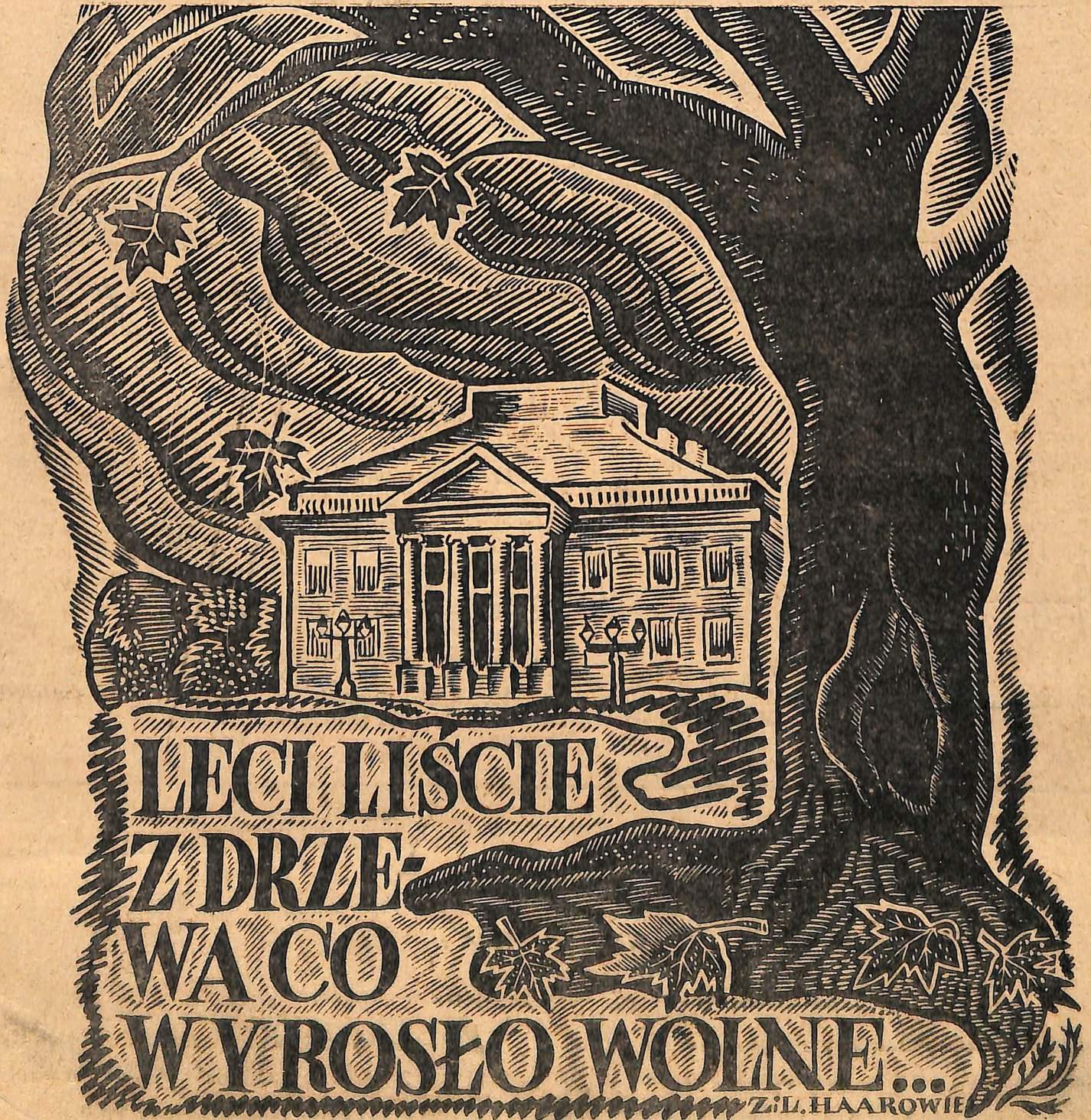
# Chotnicka

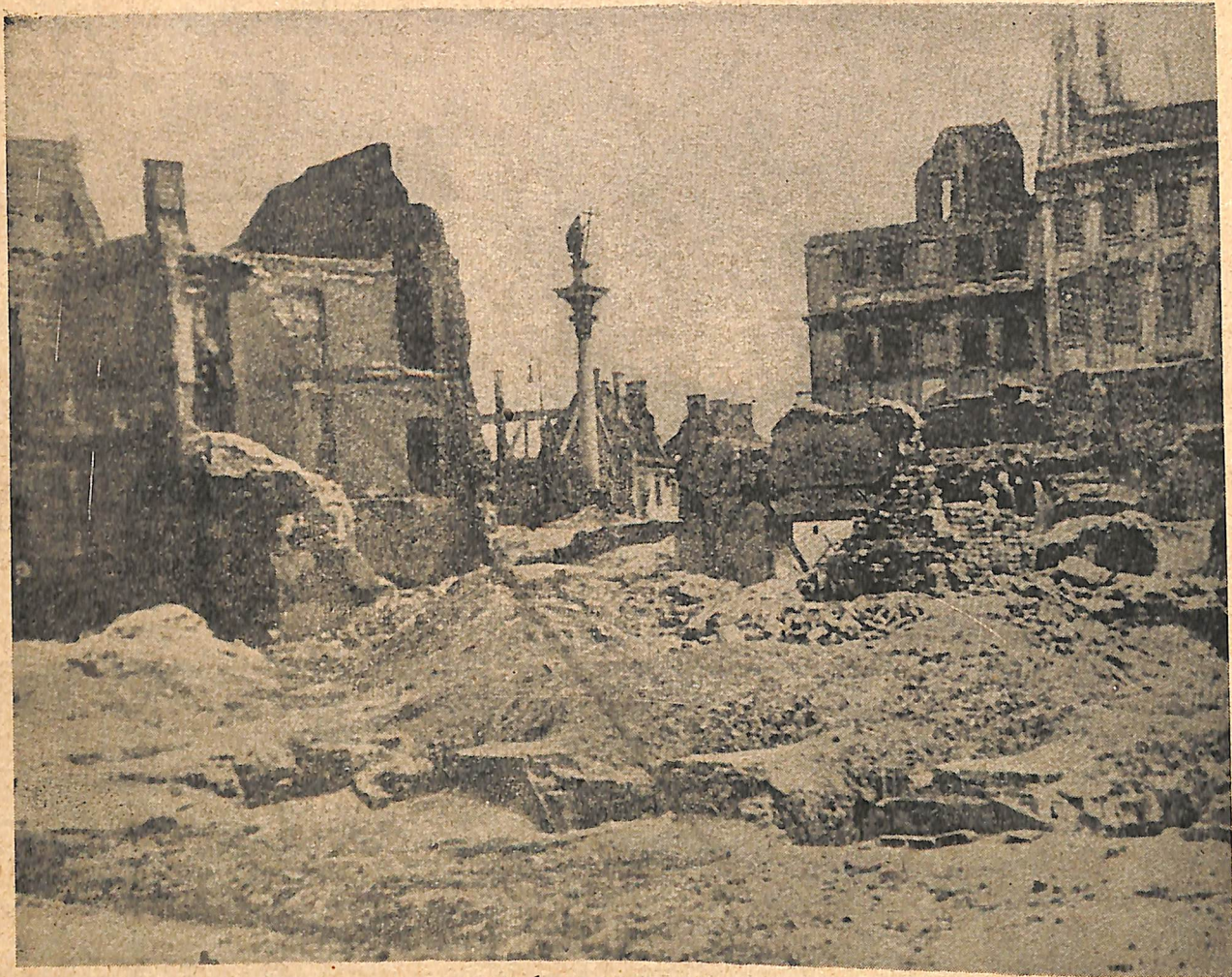
PISMO P.S.K.

Rok II

Listopad, 1944 r.

Nr 14





Plac Zamkowy, po bombardowaniu Warszawy we wrześniu 1939 r.  
Podczas walk w 1944 r. Kolumna Zygmunta została zgruchotana przez bomby niemieckie

## TREŚĆ NUMERU

- |   |                        |  |                 |
|---|------------------------|--|-----------------|
| 1. Historia uczy . . . . .                            | A. R.                  | 12. Wiersze Maryli Wołskiej:<br>„Wiem“, „Stary Sad“,<br>„Pożegnanie“, „Kora“ |                 |
| 2. Listopad . . . . .                                 | Józef Bujnowski        | 13. Oczami artysty . . . . .   | On              |
| 3. Emilia Plater . . . . .                            | Hanna Mirecka          | 14. „Centrala — wstęp<br>wzbroniony“ . . . . .                               | Anna Sztyborska |
| 4. 11 Listopada 1918 r. . . . .                       | Stanisław Janikowski   | 15. Radiotelegrafistka . . . . .   | Józef Żywina    |
| 5. Krew i nafta . . . . .                             | Jarosław Żaba          | 16. Piękna działalność . . . . .   | I. F.           |
| 6. Zaduszki . . . . .                                 | I. M. Bocheński, O. P. | 17. W cieniu walczących żoł-<br>nierzy . . . . .                             | Sworzeń         |
| 7. Opowieść o Cichowskim<br>Adam Mickiewicz           |                        | 18. Za kulisami . . . . .  | I. I.           |
| 8. Tym, którzy polegli na<br>włoskiej ziemi . . . . . | B. W.                  | 19. Listy do Redakcji . . . . .  |                 |
| 9. Prośba . . . . .                                   | Ryszard Kiersnowski    | 20. Kronika . . . . .  |                 |
| 10. Żołnierz bez munduru . . . . .                    | M. T.                  |  |                 |
| 11. Wojenne szczęście . . . . .                       | N. Sadek               |  |                 |

WŁOCHY, 1944 r.

„Ochotniczka“ ukazuje się raz w miesiącu

Wydawca: Oddział Kultury i Prasy 2 Korpusu  
Redaktorka Naczelna: dr. Herminia Naglerowa  
Adres redakcji i administracji: Polforces CMF 58

„Ochotniczkę“ nabywać można w Referatach Kultury  
i Prasy 2 Korpusu w Oddziałach P.S.K., w Kantynach  
polowych, oraz Świetlicach

Cena 20 lirów

Tłoczono w Ciężkiej Drukarni Polowej A.P.W.



29 listopada, 1830 r. — Plac zamkowy w Warszawie w chwili wybuchu powstania

## HISTORIA UCZY

Listopad jest miesiącem dwóch wielkich rocznic w naszej historii, rocznic obchodzonych uroczystości, które pamiętamy wszyscy od lat dzieciństwa. Jedną z nich przypominała nam wielkie wydarzenie okresu niewoli, które zakończyło się klęską — Powstanie Listopadowe. Drugie było rocznicą tryumfu i zwycięstwa, odzyskania niepodległości po stu kilkudziesięciu latach rozbiorów — Święto Niepodległości w dniu jedenastego listopada.

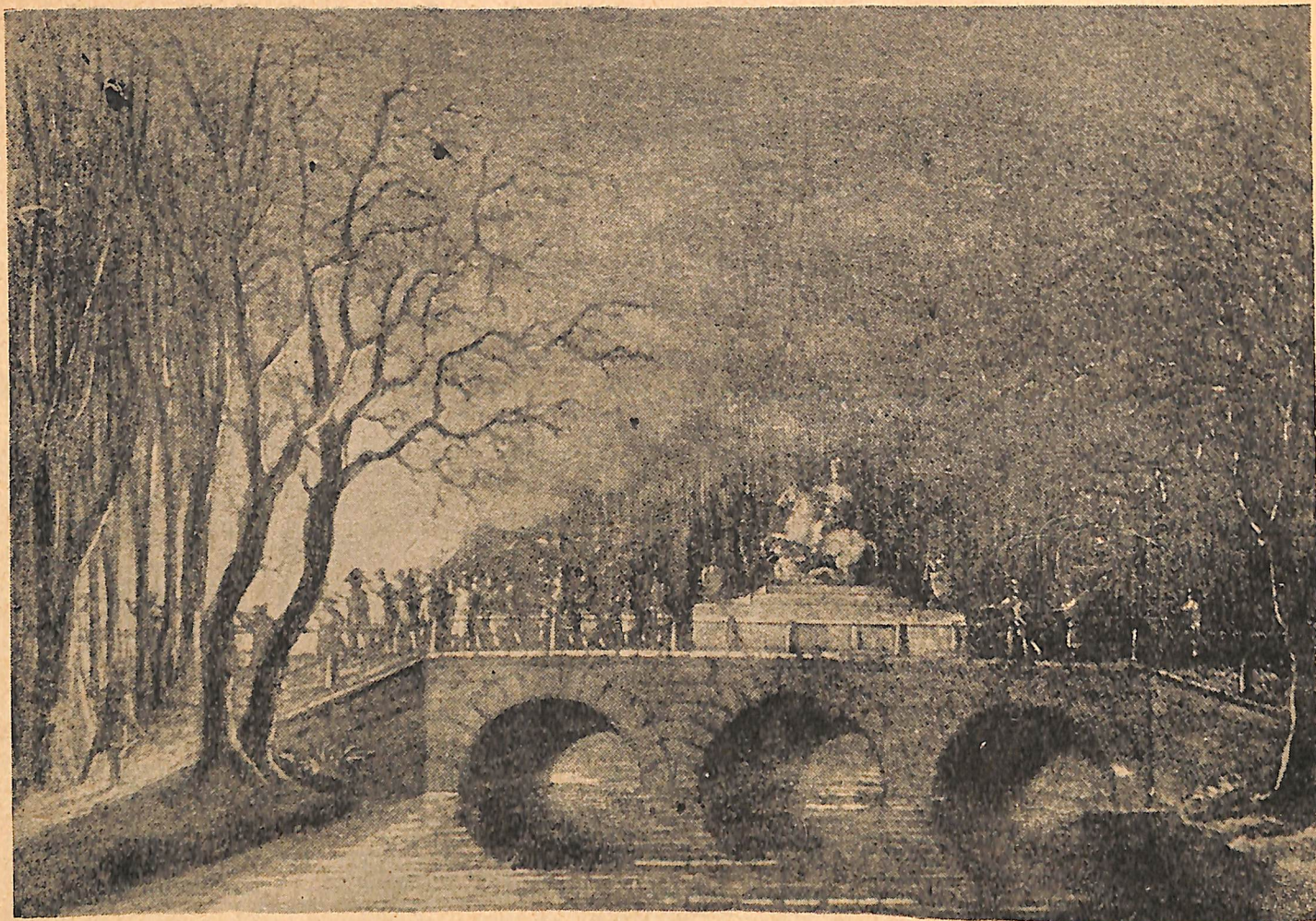
Powstanie listopadowe wybuchło dnia 29-go tego miesiąca w roku 1830, w 15 lat po Kongresie Wiedeńskim, który związał większą część obszaru dawnej Rzeczypospolitej z rosyjskim imperium carów. Związek ten według postanowień traktatu miał być unią personalną, car wszechrosji, wówczas Aleksander I, został zarazem królem Polski, a część Polski włączona do państwa carów miała się rozwijać niezależnie i samodzielnie w oparciu o własne ustawy i z własnym sejmem. Car Aleksander kokietował wówczas Europę swoim daleko posuniętym liberalizmem i odgrywał rolę oswobodziciela narodów europejskich od tyranii Napoleona. Rosyjska przestrzeń i mróz, które pokonały cesarza Francuzów, następnie rosyjskie armie, które zalały Europę i znalazły się na ulicach Paryża, odegrały tak dużą rolę w rozgromieniu Francji, że głos Moskwy na kongresie pokojowym nie znalazł dostatecznego

oporu ze strony mocarstw europejskich. Metternichowska zasada legitymizmu, na której zbudowano organizację Europy po wojnach napoleońskich, znalazła jeden wielki wyjątek: nie odbudowano państwa polskiego, dawnej Rzeczypospolitej. Pewne wysiłki czynione w tym kierunku przez Talleyranda w imieniu Francji i Castlereigha w imieniu rządu angielskiego pozostały bezowocne. Adam Czartoryski, minister i najbliższy przyjaciel w młodości Aleksandra I, zwolennik porozumienia polsko-rosyjskiego przeżył największe rozczarowanie swojego życia.

Aneksja lwiej części obszaru Rzeczypospolitej nie została jednak wówczas dokonana po prostu i nie nazywała się aneksją: stworzono Królestwo Polskie z carem, jako królem, i z namiestnikiem cesarskim w Warszawie, którym został cesarski brat, odsunięty od tronu z powodu braku odpowiednich kwalifikacji umysłowych, Wielki Książę Konstanty. Kraj i naród, który od stuleci rozwijał się na podstawach cywilizacji zachodniej i korzystał z najdalej, na ówczesne, stosunki, posuniętych wolności politycznych i indywidualnych, został w ten sposób połączony w jedną całość ze wschodnią despotcją caratu. Mniej lub bardziej szczerze koncert mocarstw europejskich przyjął, że takie połączenie może stać się podstawą harmonijnego współdziałania dwu odrębnych kultur i odrębnych światów pojęć oraz, że Mo-

skwa uszanuje polską indywidualność narodową. W społeczeństwie polskim powstały również pewne prądy porozumienia i zaufania do pomyślności tego rodzaju układu politycznego. Bardzo szybko jednak wszystkie takie nadzieje zostały rozwiane. Po nie zdecydowanym i chwiejnym Aleksandrze, zasiadł na tronie moskiewskim młodszy jego brat Mikołaj I, najwierniejszy wyraziciel państwowego ducha rosyjskiego, ciasny despota i tyran, który w ciągu swego długiego panowania zdobył zasłużone miano „żandarma Europy” — żandarma, pilnującego, by narody nie odzyskały wolności.

Powstanie Listopadowe było naturalną i konieczną konsekwencją próby przymusowego połączenia dwóch odrębnych narodów i zarazem odrębnych cywilizacji, odrębnych kultur: polskiej, czyli zachodniej i europejskiej — z rosyjską, czyli wschodnią i eurazjatycką. Próba taka nie mogła się powieść. Powstanie upadło, ponieważ siły militarne Rosji były przeważające i ponieważ ruchy wolnościowe narodów europejskich były jeszcze zbyt słabe w stosunku do rządzącego Europą reakcyjnego zespołu mocarstw Świętego Przymierza. Powstanie jednakże było ważnym etapem w walce o wolność nie tylko Polski, ale całej Europy. I dlatego, wywoławszy oddźwięk żywej sympatii wśród wszystkich demokratycznych kierunków europejskich i



29 listopada 1830 r. — Spiskowcy pod pomnikiem Sobieskiego w Warszawie

umocniwszy ich dążenia we wszystkich krajach, stało się również dla naszego narodu wspomnieniem wielkim i niezatartym, przedmiotem czci następnych pokoleń i niewyczerpanym źródłem siły do dalszej walki o wolność. Pamięć o Powstaniu Listopadowym jest wśród nas dotąd żywa i musi być dla nas, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, nauką i drogowskazem na przyszłość.

Druga rocznica listopadowa przypada na dzień 11-go. Dzień ten został wybrany jako rocznica oswobodzenia Warszawy w roku 1918, kiedy Marszałek Józef Piłsudski, wypuszczony wraz ze swoim szefem Sztabu Kazimierzem Sosnkowskim z twierdzy magdeburgskiej po klęsce niemieckiej, wrócił do Warszawy i po rozbrojeniu Niemców objął naczelną władzę w stolicy Polski. Odzyskanie wolności nie dokonało się wówczas tego samego dnia na całym obszarze Rzeczypospolitej i poszczególne miasta, poszczególne dzielnice wywalczały ją dla siebie w terminach niezupełnie tych samych, ale dzień jedenastego listopada jako dzień wyzwolenia stolicy stał się symbolem dla całej Polski — świętem niepodległości.

Niepodległość odzyskana przez Polskę w roku 1918 była niepodległością rzeczywistą i prawdziwą. Polska powstała

w wyniku wojny światowej, w której rozgromione zostały wszystkie trzy mocarstwa zaborcze, a ostateczne ustalenie granic, mianowicie granicy wschodniej dokonane zostały przez własne siły odtworzonej, samodzielnej i niezależnej Armii Polskiej.

Druga wojna światowa, którą przeżywamy obecnie, nie wróży w tej chwili równie pomyślnego dla nas zakończenia. Nad przyszłością Polski zawisły ciężkie, groźne chmury. Ale przecież cele wojny, sformułowane jedyny raz w ciągu jej trwania i przyjęte przez wszystkie mocarstwa koalicji antyniemieckiej, są zawarte w Kartach Atlantyk, która głosi zasadę wolności narodów i nienaruszalność ich przedwojennych granic, a ludziom obiecuje bezpieczeństwo i wolność osobistą. Zasada wolności jest więc wciąż naczelnym i przez wszystkich oficjalnie uznanym celem wojny, przeciw któremu nikt jeszcze dotąd otwarcie nie ośmielił się wystąpić. Jednakże jest rzeczą wiadomą, że istnieją konkretne plany i projekty niezgodne z zasadami Kart Atlantyk i wiadomo, że godzą one przede wszystkim w naszą przyszłość. Są to często projekty, które chciałyby przynieść Polsce wolność pozorną, podobną do tej wolności, jaką dał Polsce Traktat Wiedeński i t.zw. polskie

Królestwo Kongresowe. Przeciw takim projektom wolności pozornej ostrzega nas najwymowniej historia tego okresu, który zakończył się wybuchem Powstania Listopadowego i o tym doświadczeniu nie wolno nam zapominać zwłaszcza w obecnym okresie życia narodowego.

Powstanie Listopadowe było wiecznie pamiętnym i wiecznie żywotnym buntem przeciwko łączeniu tego, co nie może być połączone, przeciwko wiązaniu ze sobą dwu odrębnych światów, które były i pozostaną zawsze obce sobie, jak zło i dobro, wolność i niewola, twórcza myśl i knut ciemności.

A. R.

Na okładce „Ochotniczki“ — rysunek L. i Z. Haarów, wykonany specjalnie dla naszego pisma, jako ilustracja do znanej pieśni ludowo-powstańczej, zaczynającej się od słów: „Leci liście z drzewa, co wyrosło wolne“. W głębi rysunku widać pałac Belwederski w Warszawie, którego historia związana jest z wybuchem Powstania Listopadowego 1830 r. W okresie Polski Odrodzonej pałac Belwederski był rezydencją Marszałka Józefa Piłsudskiego.

*Zepsuty nie znosi cnoty. Człowiek głęboko upokorzony, nie znosi dumy.*

*Ludzkość jest tak urządzona, że pod budowlę Wolności kładzie życie ludzkie i bierze krew ludzką, która jest najlepszym tej budowli spoidłem... Żle byłoby, gdyby Polska wznosząc budowlę swego nieśmiertelnego bytu, zawała się poświęcić życia ludzkiego i gdybyśmy jej swojej krwi poskapili... Bo życie ludzkie w wir walki porwane i walczące do sił ostatka, jest świadectwem wartości każdego narodu i jego wojska...*

Józef Piłsudski („Pisma“)

Józef Piłsudski („Pisma“)

# LISTOPAD

Co jesieni w pieśni splatał gibkie gałęzie,  
rozsypany zadumę i radość w nitkach pajęczyn —  
i szedł roześmiany pieśnią  
z orędziem  
chorowodu chłopców i dziewczyn.

— O, kwitnij w niwach szerokich, w łąkach, lasach i  
pijana szczęściem, odzyskana radości trwania! [sadach,  
O, śpiewaj dni odeszłe w balladę,  
o, pobłogosław ciszę żytozbrania!  
Plastrami miodów, o, słodka, zastaw domowe stoły,  
w bieli obrusów i kolend najcichsze daj nam wigilje,  
niech przy gościńcach porosną nietknięte stopą zioła,  
po wioskach niechaj w ogródkach rozkwitną georginie!

Szedł listopad przez kraj,  
georginie kwitły w opłotach,  
dojrzewał wicher,  
aż z liśćmi chorągwi opadł  
rdzawolisty  
rozwiany  
listopad.

Rozkochali się chłopcy w białych nocach,  
rozkochały się dziewczęta w śpiewie kolend —  
w miłowaniu nie zaznać przemocy —  
wyruszyli zatem chłopcy w krwawe pole,  
a dziewczęta patrzyły na gościńce,  
kiedy srebrem kołysały się bagnety  
i śpiewały — w kochaniu nie przemińcie —  
georginie zrywały na bukiety.  
Wychodziły przed opłoty we łzach matki,

ojcom drżały w pożegnaniu zwarte ręce,  
w próg schodziły się kumy i sąsiadki,  
o żołnierzu było w każdej piosence.

Wicher i płomień był w liściach —  
rdza i purpura krwawiły się u nóg,  
a przez bruk  
przeleciał wicher-galop

i opadł —  
więc czekają przez długie długie lata  
dziewczęta w żalu  
na swoich chłopców przyjsie —  
czekają  
na listopad.

Idą chłopcy przez pola, krwawe pola,  
idą deptając liście innych topoli,  
czasem który w kochaniu się zapatrzy,  
więc przyniosą go inni chłopcy na tarczy —  
przysypany tymczasem srebrem łopat  
będzie czekał na złoty nasz listopad —  
będzie czekał, aż weźmie ktoś na ręce  
lub zaniesie na ustach w piosence...

Wtedy  
już co jesieni  
w pieśni splecie listopad gałęzie  
i rozsypie zadumę i radość w nitkach pajęczyn —  
i pójdzie roześmiany pieśnią  
z orędziem  
chorowodu chłopców i dziewczyn.

Józef Bujnowski

## EMILIA PLATER

Powstanie Listopadowe obfituje w nazwiska wodzów wojska regularnego i dowódców oddziałów powstańczych. Wśród nich nazwisko kobiety: EMILII PLATER. Są wprawdzie i inne kobiety, które w tym powstaniu biorą udział — Emilia Szczaniecka, Antonina Tomaszewska, Klaudyna Potocka, Maria Molówna, Anna Prószyńska, Maria Raszanowicz, wierna towarzyska Platerówny, aby wymienić najbardziej znane — ale najwybitniejszą postacią jest Emilia Platerówna.

Urodziła się 18 listopada 1806 roku. Jakby los chciał związać miesiąc jej urodzin z czynem jej krótkiego życia. Matka jej, hrabianka Anna de Motel z domu, po krótkim, nieszczęśliwym małżeństwie z hr. Ksawerym Platerem, opuszcza męża, aby zamieszkać w zacisiku wsi swojej kuzynki — w Liksnie, w Inflantach. Tu oddaje się całkowicie wychowaniu córeczki, dziewięcioletniej podówczas Emilii.

Na wrażliwej i poważnej dziewczynce zaważyły mocno rodzinne przejścia. Stroni od zabaw dziecińczych, tak samo jak później jako dorastająca panna unika rozrywek światowych i pustego życia towarzyskiego. Za to z pasją poświęca się studjowaniu ulubionych przedmiotów — matematyki, historii i... strategii. Wzorem do naśladowania jest dla Emilii — Joanna d'Arc. Ale czasy cudów i objawień minęły. Trzeba mieć przygotowanie na bohaterkę. Emilia ćwiczy się więc z szermierce, w strzelaniu, w konnej jeździe. Ani upał, ani mróz, ani śoty i śnieżyce nie są przeszkodą dla dłu-

gich, codziennych marszów. Wprawia się w znoszeniu trudów, w przewycięzaniu wątłego organizmu. Jej odwaga graniczy z szaleństwem, a szybkość decyzji i wola nadają jej ślicznej dziewczęcej twarzy wyraz fascynujący.

Do swojej przyszłej roli czynnego powstańca przygotowywała się więc Emilia Plater poważnie. Majątek Liksna był nie daleko Dyneburga, gdzie w twierdzy stała załoga rosyjskiego wojska i gdzie istniała Szkoła Podchorążych. Wokół tej twierdzy właśnie krążyły plany Platerówny, zanim jeszcze wybuchło powstanie. Zdobycie Dyneburga — znaczyło przecież uwolnienie Inflant od Rosjan.

Wieści o przygotowaniach w Królestwie przedostawały się przez emisariuszy do Litwy i Ziemi zabranych. Były na razie niepewne, ale wzniewały nadzieje. Emilia w Liksnie ma swoich zwolenników wśród służby i mieszkańców wsi. Wie, na kogo i na co może liczyć, gdy moment nadejdzie. Tymczasem jednak uderza w nią osobisty cios. Umiera jej matka w r. 1830. Bardziej jeszcze osamotniona, bardziej smutna, ale też bardziej zdecydowana, Emilia czeka i nasłuchuje wieści. Pociemniałe oczy przebijają jesienne mgły, a twarz jest coraz bledsza od nurtujących niepokojów.

Wreszcie nadchodzi pewna wiadomość, że w Warszawie skrzyknieto się hasłem: „Do broni!”. Platerówna, nie zwlekając, rozpoczyna działanie. Zbiegają się do niej ludzie gotowi pójść pod jej rozkazy. „Pułkownik” Platerówna szkoli powstańców w lasach. Na Litwie ruch już się zaczął i Platerówna udaje się do

Wilna, żeby przedstawić swój plan zdobycia Dyneburskiej fortecy. Któżby jednak dopuścił młodzieńką pannę przed oblicze powstańczych strategów? Z niczym trzeba wrócić do Liksny, aby w dalszym ciągu organizować swój oddział, aby słać zaufanych na wszystkie strony celem wywołania ruchawki w Inflantach i na Żmudzi.

Nie zaniechała też planu zajęcia Dyneburga. Usiłuje przeprowadzić zamiar na własną rękę. W tym celu porozumiewa się z kuzynami, uczniami szkoły Podchorążych w Dyneburgu. Ci przyjmują plan z entuzjazmem. To, co mogli zrobić podchorążowie Warszawy jest i tu do wykonania. Skoro przyjdzie uderzenie na Dyneburg z zewnątrz, pomoc dadzą podchorążowie z wewnątrz twierdzy.

W marcu 1831 roku powstanie w Inflantach stało się rzeczywistością. Platerówna przywdziewa meski strój, przypasuje szablę, pistolet wkłada za pas. Jasne włosy obcięte są krótko, ale promienie wymykają się spod czapki. Jest śliczna, młodzieńcza, zapalona i rozważna jednocześnie. Jej imię jest powtarzane z zachwytem i z... odrazą.

W niedzielny dzień w Dusiatkach zebrała Emilia zebrany przed kościołem i na rynku tłum do chwycenia za broń. Pod wieczór ma już pod swoimi rozkazami 2000 strzelców, kilkuset kosynierów i kilkudziesięciu ułanów. Następnego dnia na czele swojego oddziału stacza bitwę pod Dowgielami i kieruje marsz ku Dyneburgowi, tocząc po drodze bitwę ze zmiennym szczęściem. Więc znowu za-



pada się w lasy, znowu usprawnia swój oddział, grzebie poległych, zdobywa broń na nieprzyjacielu. Idzie na Dyneburg! Grupa akademików wileńskich przyłącza się do oddziału Platerówny. Obok litewskich, żmudzkich pieśni, brzmi bojowym rytmem „koroniarzka”:

Krwi nie wołamy, zdobyczy nie chcemy,  
Do mściwych mordów, do łupiestw nie-  
zdolni,  
Tylko Ojeźzgnę odzyskać pragniemy,  
Tylko być wolni...

Straszliwy los Oszmiany, spalonej przez wojska rosyjskie, wyrznięcie jej mieszkańców, łuny na niebie wywołane pożarem miasteczek i wsi towarzyszą posuwającemu się oddziałowi powstańców. Wojna rozpalila się na dobre i tu i na Litwie i na Zmudzi. Niestety, wymarzony, wypracowany plan Platerówny — zdobycia Dyneburskiej fortecy nie udaje się. Komendant Szkoły Podchorążych, uprzedzony o zbliżaniu się powstańców, a nie pewny swoich elewów, wysłał ich pod eskortą kozaków do armii Dybicza. Nie można się już pokusić o zdobywanie fortecy — bez armat.

Platerówna nakazuje więc odwrót. Miejscowości, tak nie dawno zdobyte przez powstańców, były znowu w rękach rosyjskich. Zdobyte i spalone. Ludność wyrznięta albo tułająca się po lasach. Emilia postanawia z oddziałem swoim, który był za słaby wobec wojsk rosyjskich, połączyć się grupą generała

Załuskiego. Sława i odwaga Platerówny była już rozgłosna i gen. Załuski wita ją z entuzjazmem, przygotowuje się nawet święto pułkowe na jej cześć. Ale zamiast uroczystości żołnierskiej, rozegrała się tu, pod Przystowianami, krwawa bitwa z nieprzyjacielem. Bierze w niej udział Platerówna. Jest pierwsza w tumultach bitwy. Przeważające siły rosyjskich wojsk i znowu armaty rozstrzygają na niekorzyść powstańców.

Z resztkami swojego oddziału Platerówna przedziera się do lasu. Wyczerpana fizycznie, zgnębiona duchowo, dociera do jakiejś leśniczówki, oddalonej tylko 500 metrów od obozu rosyjskiego. Zostaje jednak na noc i dopiero o świcie idzie dalej. Idzie w stronę Wilna. Towarzyszy jej Maria Raszanowicz, która pozostanie przy Emilii wiernie; aż do końca. Wreszcie po trudach i niebezpieczeństwach, dociera Platerówna do oddziału gen. Chłapowskiego. Tu otrzymuje mianowanie na kapitana - komendanta pierwszej kompanii liniowej pierwszego pułku litewskiego. Pułk ten po kilku dniach otrzymuje rozkaz ruszenia do Kowna — jako 25 pułk liniowy.

Już lato, czerwiec. Z Królestwa na Litwę przychodzą pierwsze oddziały regularnych wojsk. Przychodzą wraz z nimi wiadomości o Grochowie, Olszynie, Stoczku. Rozpala serca ten rapsod bohaterki, o którym tu nie wiadomo, że dobiega kresu pod Ostrołęką, że się wykrwawia, aby na końcu rozbrzysnąć bo-

haterstwem Warszawy — obroną Woli, Redutą Ordoną.

Kapitan Platerówna jest w załodze Kowna. Było to usunięciem jej z placu boju. Przyjęła tę krzywdę bez szemrania. Wymagała zawsze dyscypliny i posłuchu od swoich żołnierzy, więc i sama dać musiała przykład. Kowno, nie poparte dostatecznie, kapituluje. Krok za krokiem, ustępując dopiero po zaciętych walkach, przedziera się Platerówna przez wojska rosyjskie do Rosień, gdzie stał gen. Giełgud. Tu znowu otrzymuje Platerówna podrzędną funkcję eskortowania furgonów.

Wodzowie — Giełgud, Chłapowski — skłóceni. Wojsko coraz głośniej powtarza złe, destrukcyjne słowo: „zdrada!” Bo Giełgud i Chłapowski maszerują — co prawda walcząc po drodze — ku granicy pruskiej. Giełgud ginie tu od polskiej kuli. I podczas, gdy jedni przechodzą granicę, inni cofają się z powrotem, aby na litewskiej i żmudzkiej ziemi walczyć a niechby i zginąć ze słowami na mrących ustach: „Dabar Lenkay na prapule! (Jeszcze Polska nie zginęła), inni wreszcie idą za wezwaniem: „Do Warszawy!”

Platerówna z Raszanowiczówną i Cezarym Platerem wybierają drogę do Warszawy. Dziesięć dni trwa już ta wędrówka przez kraj zalany żoldactwem rosyjskim. Emilia trawiona gorączką, z ranami na stopach, głodna, spragniona — wlecze się ostatkiem sił. Wreszcie pada zemdlona. Raszanowiczówna i Cezary wnoszą ją do leśniczówki. Odzyskawszy przytomność, zaklina ich, żeby ją zostawili i tak przecież nie długo skończy, a oni będą jeszcze pożyteczni dla sprawy.

Nie spełniają jednak jej życzeń. Cezary idzie do właściciela majątku, prosząc go o gościnę i opiekę dla Emilii. Pod przybranym nazwiskiem Karawiskiej, Emilia przebywa w Justianowie. Jest chora: dzień i noc czuwa przy niej Raszanowiczówna. Starannie ukrywają przed nią wiadomości o tragicznym losie powstania. Ale wiadomość dociera do Emilii, mimo wszystko. Brzmi ona: „Dnia 23 grudnia padła Warszawa”.

Ostatnim wysiłkiem drżących, wychudłych rąk Platerówna podnosi szablę do góry, wysoko. Bez słów. Serce jej przestaje bić. Skonała z tym symbolem walki w rękę. Może chciała powiedzieć, że tylko tak zdobywa się wolność: walcząc ciągle...

Długo krążyły o Emilii Plater legendy. Mówiono, że zginęła na polu bitwy, że umarła z ran w leśniczówce. Tak uwiecznił ją Mickiewicz w wierszu. Jeżeli jednak prawda historyczna rozwiązała legendy, nie zmieniła przecież tego, że Emilia Plater nie przeżyła upadku Warszawy i upadku powstania.

Na ementarzu w Kopciowie złożono ją na wieczny odpoczynek. Dano jej do trumny pałasz, na głowę włożono krakuskę, aby stanęła przed Bogiem jako żołnierz tego Kraju, który bije się o wolność nawet wątłymi rękami kobiet.

Hanna Mirecka

# 11 LISTOPADA 1918 r.

Listopad 1918 roku. Władza zaborców i okupantów rozpadała się. W poszczególnych ośrodkach polskich kiełkowało samodzielne życie — gdzie niegdzie nieudolnie, czasem lekliwie, w oparciu o jakieś akty państw zaborczych, czy to o proklamację austriacko-niemiecką z d. 5 listopada 1916 r., na której podstawie powstała w Warszawie Rada Regencyjna, czy to o patent cesarza Karola, na którym się opierała Komisja Likwidacyjna w Krakowie, złożona z przedstawicieli wszystkich stronnictw. W zaborze pruskim panowali jeszcze Niemcy; Poznań wyzwolił się dopiero w czasie świąt Bożego Narodzenia, po przybyciu Ignacego Paderewskiego. We Lwowie w pierwszych dniach listopada, rozgorzały walki z Ukraińcami. Walczyły dzieci; nowe życie polskie powstawało z chaosu — pod znakiem bohaterstwa. O ziemie zabrane, o Wilno, Polesie i Wołyń mieliśmy toczyć jeszcze długie boje.

W Lublinie, pod okupacją austriacką, załamanie się wroga nastąpiło wcześniej, niż pod okupacją niemiecką. Rząd lubelski był pierwszą próbą utworzenia samodzielnej władzy polskiej. Premierem był wytrawny wódz socjalistów galicyjskich, Ignacy Daszyński; rząd składał się z lewicy niepodległościowej. Nie wszystkie teki zdołano odpowiednio obsadzić pod względem fachowym. Przewodni ludowcy, z Wincentym Witosem na czele, usunęli się od współdziałania. W Lublinie był obecny dowódca POW, pułkownik Rydz-Śmigły. Po pewnym wahaniu, podporządkowały mu się oddziały Polskich Sił Zbrojnych (Polnische Wehrmacht), podległe Radzie Regencyjnej, które znalazły się w pobliżu Lublina. Na prowincji, m.in. na Chełmszczyźnie, P.O.W. rozbijała Austriaków. W Lublinie pełno było strzelaniny w powietrze. Mżył deszcz; na ulicach można było widzieć patrolujących Peowiaków w cywilnych ubraniach, czasem nawet pod parasolami; nie zawsze byli to młokosi.

Polityce polskiej, a przede wszystkim polskiemu wojsku brakowało ośrodka krystalizującego. Komitet Narodowy, z Romanem Dmowskim na czele, urzędował w Paryżu, zajęty akcją dyplomatyczną. Do Kraju się nie przenośli — i zresztą Kraju opanować nie byłby zdolny. Przez wieś polską, przez miejskie środowiska robotnicze szedł wiew wolności, a równocześnie podmuch radykalizmu. Masy polskie chciały wyzwolenia zarówno politycznego, jak społecznego. W Lublinie, poza ścisłym środowiskiem Rządu Lubelskiego, powstał projekt ujednostajnienia akcji polskiej. Do Krakowa, siedziby Komisji Likwidacyjnej, miały się przenieść zarówno Rząd Lubelski, jak i Rada Regencyjna; po scałkowaniu tych trzech czynników, powstałby Rząd, który by podjął wyzwolenie okupacji i zaboru niemieckiego.



Projekt ten uzyskał aprobatę Daszyńskiego. Ani do Krakowa, ani do Warszawy nie dotarł jednak, gdyż wypadki potrzebę jego przekreśliły.

Człowiek, który skupiał w sobie polskie dążenia niepodległościowe, J ó z e f Piłsudski, był w Magdeburgu. Zaprowadziła go tam właśnie logika niepodległościowej myśli: walczył z Rosją, gdyż posiadała te ziemie polskie, bez których nie można było budować państwa. Gdy zawładnęli nimi Niemcy, oni się stali głównym wrogiem niepodległości. Myśleli oni równie logicznie, jak Piłsudski, w konsekwencji — aresztowali go i wywieźli, wraz z szefem Sztabu Kazimierzem Sosnkowskim.

O swoim pobycie w Magdeburgu i o przyjeździe do Warszawy mówił później Piłsudski: \*)

„Jak państwu wiadomo, z końcem roku 1918 znajdowałem się w mieście Magdeburgu, w cytadeli. Byłem od polskiego życia rozmyślnie najzupełniej izolowany. Życie polskie biegło hen, gdzieś daleko, nie dając mi żadnych danych o sobie. Izolacja ta była doprowadzona do tego stopnia, że do mnie wiadomości o świecie zewnętrznym dochodziły jedynie z gazety codziennej, wychodzącej w Magdeburgu — „Magdeburgerzeitung”. Z niej tylko mogłem czerpać dane i wiadomości o mojej ojczyźnie. Z tych danych, względnie ubogich, przed przy-

jazdem 11 listopada do Warszawy, zostało mi w pamięci jako drogowskazy, jako dane, z którymi do Polski jechałem, kilka zaledwie dziwnych rzeczy. Pierwszą wiadomością był wetknięty mi w ręce na parę tygodni przed uwolnieniem, czy to przez sympatie, czy to przez złośliwość podoficera, tygodnik niemiecki, w którym znalazłem ku memu wielkiemu zdziwieniu mój portret z podpisem: „minister spraw wojskowych Polski”. Z krótkiej przy tym notatki widziałem, że chodzi o jakiś gabinet Swierzyńskiego, o którym pierwszy raz słyszałem, że mógł istnieć w Polsce. Byłem w nim jakoby ministrem spraw wojskowych, który siedział w Magdeburgu. Pamiętam, jak śmiałyśmy się z moim kolegą w więzieniu, generałem Sosnkowskim, jak kpiliśmy, jako z symbolu Polski, iż minister spraw wojskowych tego kraju jest nie gdzieindziej, jak w więzieniu.

„Drugi fakt, który doszedł do moich uszu, dotyczył tak zwanego zaboru austriackiego. Mianowicie — w piśmie, napadającym ustawicznie na słabość sojusznika, na Austrię, był patent cesarza Karola, nadający nagle wielkie prawa ludności i rzucający do „swoich wiernych krajów i narodów” wezwanie, by same się zajęły swoim losem... Pomiedzy tymi narodami byli też i Polacy. Bodaj że jeszcze kilka drobnych faktów doszło do mnie, z których mogłem sobie wyrobić obraz o Polsce, a który został mi w głowie, gdy m pośpieszonym po-

(\*) Obrona Lwowa (7. sierpnia 1923).



11 listopada, 1918 r. — Wojsko polskie pod Zamkiem Królewskim w Warszawie

ciągami, zwolniony wreszcie przez Niemców, jechał do Warszawy.

„Przyjechałem do Warszawy 11 listopada... Przeprowadziłem w pierwszych kilku dniach co najmniej z tysiąc rozmów z ludźmi z najrozmaitszych stronnictw, z ludźmi najrozmaitszych autoramentów... Mówiono mi o najrozmaitszych rzeczach, podawano mi tyle recept na zbawienie Polski z ilu ludźmi rozmawiałem...

„Zyto w owym czasie... wrażeniami ciężaru życia i niepewności w samej Warszawie i w ówczesnym zaborze rosyjskim, w Królestwie. Niemiec był jeszcze na miejscu. Żołnierz niemiecki chodził jeszcze po ulicach Warszawy. Dokoła działo się coś nadzwyczajnego, o czym nikt ściśle nie wiedział, lecz trwożył się przed niepewnym jutrem. Setki tysięcy bezrobotnych, których Warszawa w owym czasie miała, o ile mi się zdaje, zajmowała znacznie więcej umysłu i trosk w sercach, niż jakiegokolwiek rzeczy, które się działy gdzieindziej.

„Minęło w ten sposób dla mnie kilka dni, w czasie których główną moją pracą było... uregulowanie w jakiś sposób swego osobistego stosunku do zjawisk, których nie zbadałem dotąd, do których nie byłem przygotowany i które wielkim, olbrzymim pochodem tłoczyły się na mnie, żądając ode mnie ustosunkowania się do nich. Z tej masy i powodzi faktów, z tej masy i powodzi recept, z tych wielkich hałasów na ulicach, które wówczas w Warszawie się działy, doszły do mnie bardzo niejasne i niewyraźne dane i o dawnym zaborze austriackim...

„Pierwszym moim dążeniem było zespolić to, co jest siłą. Czułem, że jeżeli rzeczy dalej pójdą w tak rozbieżnym kierunku, to to, co stanowi siłę i moc, wo-

bec zbliżającej się do Polski nieznaney jeszcze fali niebezpieczeństw, nie zostanie wytworzone. Korzystałem więc z każdej okazji, żeby siły wojskowe skupić w jednym ręku, i wobec dziwnej może mojej zarozumiałości wolałem, żeby one skupiły się w moim ręku. Tarcza mnie się udawała, udawała względnie lepiej, niż wszystkie inne cywilne prace, gdyż pod tym względem spotkałem zbyt silne tarcia i zbyt wielkie przeszkody w rozmątnionych, lecz chaotycznie usposobionych umysłach, z którymi musiałem się stykać. Starłem się więc zebrać wszystkie dane o stanie wojska i stanie siły w całej Polsce. W tym też czasie przybiegały do mnie najrozmaitsze wiadomości o stanie Lwowa”.

Takie Piłsudski zachował wspomnienia ze swego powrotu do Warszawy. Powitała go ona radośnie, kwiatami; z większym entuzjazmem przyjęła go bodaj raz jeden — gdy wracał po zdobyciu Kijowa. Warszawa, która mu tyle zgryzot sprawiła, w roku 1918-tym wyczuła w nim instynktownie jedynego człowieka, który podwaliny państwowe zbudować był zdolny. Rada Regencyjna przekazała mu władzę. Czynniki lewicowe, które powołały do życia Rząd Lubelski, mniej lub więcej chętnie stanęły do apelu. Uchylił się natomiast od współpracy ci, którzy swój wyraz polityczny widzieli w parryskim Komitecie Narodowym.

Byłem jednym z pierwszych rozmówców Komendanta, z owego tysiąca, o którym wspomina. Nie pamiętam, bym mu dawał receptę na zbawienie Polski. Natomiast przyjechałem prosto z Lublina i mogłem zdać sprawę z wytworzonej tam sytuacji; była to cegiełka do zbierania danych o siłach w Polsce. Czekaając na Komendanta, rozmawiałem z sze-

fem sztabu Sosnkowskim. Główną jego troską była myśl o spajaniu dawnych zaborów w jednolitą całość państwową; niewola wytworzyła różnice w strukturze społecznej i w psychice poszczególnych dzielnic. Sosnkowski troszczył się zwłaszcza o poznańskie i podkreślał konieczność wprowadzenia jego przedstawicieli do przyszedłego rządu. Nie odrazu się to udało; w gabinecie Moraczewskiego pozostawiono jednak dwie teki nie obsadzone dla reprezentantów zaboru pruskiego.

Z tysiąca rozmów wyłonił się rząd Moraczewskiego, jedyny, jaki mógł w tych warunkach powstać. Ideowo był on kontynuacją Rządu Lubelskiego, lecz został oparty na szerszych podstawach i otrzymał lepszą obsadę fachową.

Komendant mieszkał w Hotelu Francuskim, na Placu Zielonym (później Dąbrowskiego). Gdy przyszedłem tam na rozmowę, na podwórzu stała gromadka aresztowanych cywilnych agentów policji niemieckiej. Byli przybici i bladzi; nie wiedzieli, jaki los ich spotka. Nie stało się im jednak nie złego; słyszałem później, że wszyscy wrócili do Niemiec. Warszawa zbyt była upojona szczęściem, by mścić się na wrogach. Na ulicach poszczególni żołnierze niemieccy pozwolali się rozbrajać wyrostkom. W koszarach niemieckich utworzono rady żołnierskie. Porozumiewały się one z naszymi władzami politycznymi o powrót do kraju. To wojsko nie było już niebezpieczne. Natomiast na Ukrainie stała jeszcze silna, zupełnie nie zdemoralizowana armia niemiecka. Ta, gdyby siła ruszyła na stawiającą pierwsze kroki Polskę, mogła ją obezwładnić bez trudu. Dzięki układom, i tego niebezpieczeństwa udało się uniknąć.

Nowe życie rozkwitało coraz bujniej, choć nie bez tarć i niebezpieczeństw. Czuwał nad jego rozwojem Józef Piłsudski. Baczył, by rozwijało się samodzielnie. Jedne z pierwszych słów, wyrzeczonych przez Komendanta po powrocie z Magdeburga, brzmiały jak przykazanie: „... Lud polski sam musi wykazać swoją zdolność organizacyjną, bo żadna siła z zewnątrz nie może mu jej narzucić”.

W polityce wewnętrznej — wszystko szło ku wolności i postępowi społecznemu. Na zewnątrz — zaczynaliśmy wykuwać nasze granice, znacząc je krwią, gdy tego było potrzeba. W dniu 11 listopada, 1918 roku, Polska była już wolna, granic jednak jeszcze nie miała.

Stanisław Janikowski

*Kto chce zdobyć swoje swobodne życie, ten je zdobędzie. Ale za swoje swobodne życie trzeba umieć bez żałości podłego życia umierać. Śmierć za swobodne życie stokroć jest lepsza, niż podłe życie w niewoli. Taka śmierć to już jest swobodne życie.*

Stefan Żeromski („Sutkowski“)

*Krew nasza pocieczy w obce skały, piaski i gliny od wielkiej nędzy i od najtwardszych prac. Będziemy się walić w cudze rowy i stać po obcych drogach, ale dojdziemy!*

Stefan Żeromski („Sutkowski“)



11 listopada, 1918 r. — Uroczysty pochód przez ulice Warszawy

## KREW I NAFTA

(Miesięczny przegląd wydarzeń)

### Po powrocie z Moskwy

Z uczuciem prawdziwej ulgi powitało wielu Polaków, a szczególnie ci, którzy poprostu nie chcą patrzeć tragicznej prawdzie w oczy, wiadomość, że „przecież znowu niczego w Moskwie nie podpisano”. Jakże wielu tą magiczną formułą odsuwa od siebie rzetelną obywatelską troskę o los w najwyższym stopniu zagrożonej niepodległości i znowu pociesza się: „To wszystko taktyka, nie złego się nie stało, bo przecież nie podpisaliśmy niczego”. Nie chce się widzieć tej prostej prawdy, że jedynym czynnikiem, który rzeczywiście taktykę uprawia, jest Stalin. Doprowadzając politykę prawowitego rządu polskiego do coraz to nowych aktów kapitulacji, Stalin systematycznie obniża wagę podpisu rządu polskiego, tak, by doprowadzić nastroje w opinii międzynarodowej i precedensy do stanu, w którym podpis rządu polskiego dla prawnego zalegali-

zowania rozbioru Rzeczypospolitej będzie dlań, jeśli nie zbędny, to w każdym razie o znacznie, znacznie obniżonej cenie.

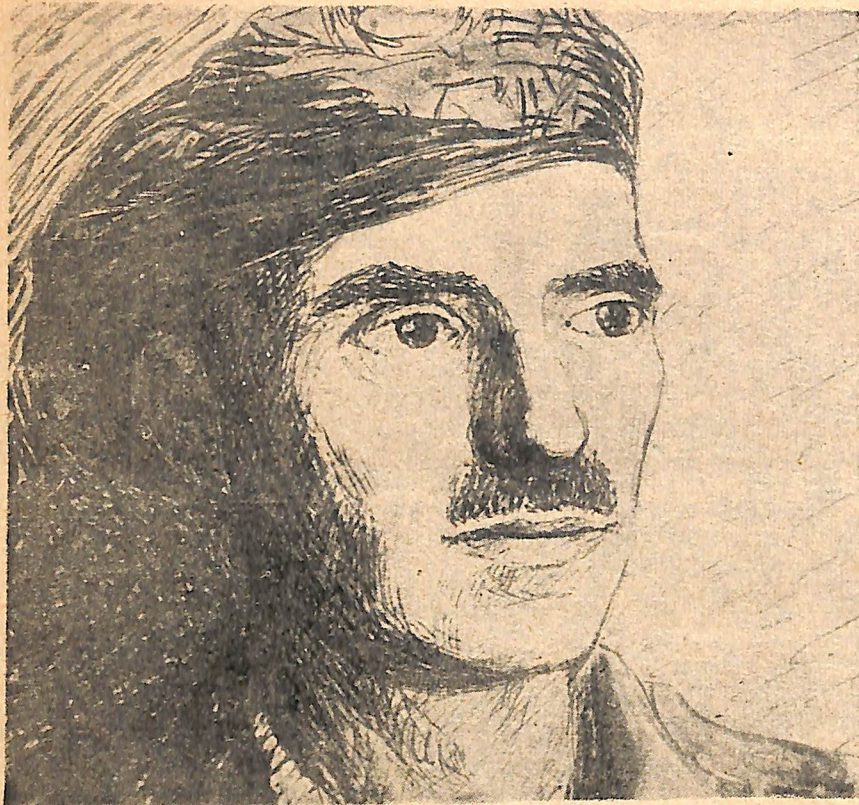
Truizmem byłoby oczywiście stwierdzenie: „lepiej, że niczego w Moskwie nie podpisano”.

Natomiast jak najstarannej trzeba przyjrzeć się dalszym losom sprawy polskiej na międzynarodowej giełdzie politycznej po konferencji moskiewskiej. Z łatwością zauważymy, że tu pojawiły się nowe nuty; z jednej strony zniecierpliwienie przeciąganiem rokowań polsko-rosyjskich przez stronę polską, z drugiej strony przesunięcie dyskusji na płaszczyznę gwarancji dla tej nowej Polski, która z łaski Stalina na zachód od linii Curzona miałyby powstać, podczas gdy konieczność zrezygnowania z ziem polskich na wschód od linii Curzona uważa się za przesądzoną.

Premier Churchill w Izbie Gmin nazwał sprawę polską „najbardziej na-

glacą i palącą”, linię Curzona i sprawę rekompensat nazwał „zagadnieniem kluczowym”, wyraził nadzieję, że „Mikołajczyk wkrótce powróci do Moskwy”, a dążenia i zobowiązania Wielkiej Brytanii w stosunku do Polski ujął w szeregu zdań, znacznie swym tonem różniących się od prostego języka umowy polsko-brytyjskiej. Premier Wielkiej Brytanii mówił: „Naszym wytrwałym i stałym celem jest, by naród polski... znalazł znośny dom i spokojne miejsce, które, chociaż niezupełnie może będzie się pokrywać i odpowiadać Polsce w granicach przedwojennych, tym nie mniej będzie dostateczne dla potrzeb narodu polskiego”.

Premier Wielkiej Brytanii wyraził żal, że na rezygnację z połowy Rzeczypospolitej nie zgodziliśmy się jeszcze w lutym, gdy po raz pierwszy nam linię Curzona zapropono-



Dowódca 2 Korpusu Gen. Dyw. Władysław Anders  
(Szkic Z. Turkiewiczza w albumie „Montecassino“)

wał: „Gdyby rząd polski był przyjął rady, które przedkładaliśmy mu na początku tego roku, nigdy nie byłyby powstały dodatkowe komplikacje, wynikłe z utworzenia Komitetu Wyzwolenia Narodowego w Lublinie”.

Pewien nowy ton pojawił się również w doniesieniach prasy londyńskiej o postawie rządu polskiego, względnie jego poszczególnych członków. Z tych doniesień widzimy, że nieugięta postawa Kraju, jego bezkompromisowa walka, ofiara Warszawy, pamięć o tym, że żołnierz polski nie bije się o linię Curzona, a o Polskę całą i prawdziwie niepodległą, świadomość, że do nikogo innego, jak do żołnierza należeć będzie ostatecznie słowo, muszą zmusić każdego, kto ochrony bagnatów rosyjskich nie chce szukać, do poważnych refleksyj, zanim na akt kapitulacji się zdecyduje. „Observer” z 29.X. pisał: „Niekörtzy ministrowie chcieliby w każdym razie odrzucić linię Curzona: — Zastrzeżono by nas w Polsce, gdybyśmy się na nią zgodzili — to były słowa jednego z ministrów”. Ten sam dziennik doniósł również, że „gabinet polski nie jest przychylnie usposobiony do przyjęcia moskiewskich warunków. Prawdopodobnie gabinet nie pójdzie dalej niż sam Mikołajczyk w swoich bezpośrednich rozmowach ze Stalinem”. — Również z prasy angielskiej dowiedzieliśmy się, jakoby Mikołajczyk w Moskwie wysunął propozycję „zwrotienia” Lwowa Polsce, a pozostawienia Wilna Z.S.R.R.

#### Jeszcze raz gwarancje

Wreszcie angielski „Observer” w numerze z 5 listopada postawił kropkę nad i — precyzując tak jak je widzi jego korespondent specjalny — stanowiska: Churchilla, rządu polskiego i opozycji wewnątrz rządu polskiego.

Więc Churchill, zdaniem pisma, „podkreślił, że oczekuje, że rząd polski jasno określi swą postawę

w ciągu najbliższych kilku dni i że zdecyduje się w sprawach terytorialnych, zanim wszystkie inne sprawy będą dyskutowane”. Wynika z tego niedwuznacznie, że rządowi polskiemu postawiono warunek pogodzenia się ze zrzeczeniem się ziem wschodnich jako warunek wstępny do dalszych rozmów.

„Observer”, dla uniknięcia nieporozumień, przypomina, że „plan moskiewski przewidywał przyjęcie przez Polaków linii Curzona jako granicy wschodniej, a Odry jako granicy zachodniej”.

Konieczność ustąpienia Polaków na linię Curzona przestała w międzynarodowej opinii podlegać dyskusji, głównie, rzecz jasna, dzięki kolejnym etapom kapitulacji naszej własnej polityki zagranicznej, którym na imię: linia demarkacyjna, pierwsza podróż do Moskwy, memorandum, druga podróż do Moskwy, pertraktacje z lubelskim komitetem.

Z kolej powstało następne pytanie: A co z Polską na zachód od linii Curzona, kto gwarantuje jej nowe granice, kto gwarantuje jej niepodległość i suwerenność? Czy mocarstwa, których odpowiedzialni politycy pehali p. Mikołajczyka na coraz to dalsze ustępstwa, zresztą systematycznie przez Moskwę odrzucane jako niewystarczające, będą gotowe udzielić gwarancji Polsce i jej granicom?

Cytowany „Observer” donosi: „Gabinet polski postanowił nie wypowiadać się w sprawie granic, dopóki ta sprawa nie będzie traktowana łącznie z wszystkimi innymi problemami, wyłaniającymi się pomiędzy Rosją i Polską, a w szczególności ze sprawą rządu w Polsce. Rząd polski dąży do odłożenia decyzji w sprawie granic tak długo, dopóki lubelski komitet wyzwolenia kontroluje uwolnione polskie tereny”.

Wyrażając to stanowisko w słowach prostych, brzmi ono: „Usuńcież przy-

najmniej agentów Moskwy z ziem na zachód od linii Curzona, zanim zgodzimy się na utratę naszych ziem wschodnich”.

W tej sytuacji socjalistyczni członkowie polskiego rządu zdecydowali się sprawę postawić wyraźniej, formułując to najprostsze pytanie, które stale dręczy każdego obywatela, a cóż dopiero żołnierza Rzeczypospolitej: Co przyjdzie nam z tego, że ziemie wschodnie oddamy Rosji, jaka siła zagwarantuje nam, że w Polsce, zaczynającej się od linii Curzona, będziemy panami swego losu, a nie wasalami Moskwy, a w przyszłości jej niewolnikami?!

Oto, co pisze prasa angielska: „Socjalistyczni ministrowie polscy zgłosili wniosek, by rząd nie podejmował żadnych zobowiązań, dopóki nie uzyska angielsko-amerykańskich gwarancji, że w każdym układzie pomiędzy Rosją i Polską — Polska zachowa swą niepodległość i suwerenność. Gwarancje powinny zabezpieczać Polskę powojenną przeciwko agresji zarówno ze strony Niemiec, jak i Rosji”.

Jakże dalekie jest to stanowisko od ideałów, w imię których na tyłu frontach przelewa swą krew żołnierz polski, dla którego paktowanie o linię Curzona, a tym bardziej jej przyjęcie, byłoby po prostu zdrada.

Lecz angielski dziennik wylewa jeszcze jeden kubeł lodowato zimnej wody na tych, którzy jakiegokolwiek nadzieje w polityce ustępstw pokładali, bo oto okazuje się, że: „jest rzeczą wysoce nieprawdopodobną, by oba rządy sprzymierzone (Wielkiej Brytanii i U.S.A.) udzieliły gwarancji tego rodzaju. Formuła socjalistów jest w rzeczywistości negatywną odpowiedzią na propozycje moskiewskie”.

Inne pismo angielskie, „Sunday Times” zapewnia nas, że „umiarkowane koła (polskiej) opinii skłaniają się do przyjęcia linii Curzona, jako zła, od którego niema ucieczki” i że, „te koła polskiej opinii, które zajmują zupełnie nieprzejednane stanowisko, stanowią stosunkowo małą mniejszość, a Mikołajczyk może liczyć na poparcie większości politycznych ugrupowań w swej ostrożnej polityce, zmierzającej do znalezienia podstawy przyjaznej współpracy z Rosją. Rząd brytyjski popiera to całym sercem w tym względzie”.

#### Czyny żołnierskie

Równoległe do nacisków na Rząd Polski, zmierzających do skłonienia go do dalszych ustępstw, do kontynuowania polityki kapitulacji — żołnierz polski, zarówno czynami bojowymi na wszystkich odcinkach, na których walczy, jak i swoją postawą ideową, składa w ręce tegoż Rządu ogromny kapitał ofiary, znacznie przekraczający granice zwykłego obowiązku; kapitał, którego zmarnowanie byłoby zbrodnią wobec historii.

Na froncie włoskim ponowne wejście do akcji 2. Korpusu na bardzo trudnym odcinku górskim, nie tylko ożywiło działania na tym froncie, nie tylko dało „Lwowiakom” jeszcze jedną moralną satysfakcję — zdobycia Predappio, rodzinnego miasta tego, który pierwszy, ale nie ostatni, sprawę Polski uważał za załatwioną, a Polskę za zlikwidowaną — ale i oddało dowództwu

8 armii szereg poważnych pozycji. Po zdobyciu miasta Dovadolo i walkach o wyniosłość Monte Casaluda, oddziały 2 Korpusu podeszły pod stolicę prowincji Romagna, miasto Foerli i schodzą w dolinę Padu.

W Holandii wojska polskie zdobyły miasto Brede, stoczyły szereg ciężkich walk nad kanałem Mark i wreszcie nie komu innemu, jak Polakom, przypadło w udziale zlikwidowanie fanatycznie bronionego przez Niemców ufortyfikowanego miasteczka Moerdijk, stanowiącego ostani punkt niemieckiego oporu na południowym brzegu rzeki Mosy.

We Francji wreszcie w nową fazę wszedł zaciąg ochotniczy do wojska polskiego. Rekrutacja odbywa się przez biura POWN; zgłaszający się, gromadzeni w obozach przejściowych, odjeżdżają następnie na przeszkolenie do W. Brytanii.

Nie ustała zbrojna walka narodu polskiego i w Kraju, pomimo zniszczenia w Warszawie głównego trzonu Armii Krajowej. Stale napływają wiadomości o walkach oddziałów Armii Krajowej z Niemcami. Perfidna propaganda niemiecka, zmierzająca do zdyskontowania na swoją korzyść powstania warszawskiego, nie odniosła skutku.

Natomiast z ziem wschodnich Rzeczypospolitej radio lubelskiej Targowicy doniosło o całym szeregu „napadów” żołnierzy Armii Krajowej na oficerów sowieckich i żołnierzy armii „ludowej”. Jest rzeczą jasną, że Moskwa, nie mogąc dać sobie rady z oddziałami Armii Krajowej, ani przez deportacje, ani przez przymusowe wcielanie do armii Berlinga, przez rozsiewanie tego rodzaju wiadomości przygotowuje sobie grunt pod nową falę terroru.

#### Do wiosny 1945 r.

W tym czasie, „gdy w świecie znówu o Polakach głośno”, nie tylko z powodu stawianych w stosunku do nas żądań, ale i z powodu czynów polskiego, żołnierza, wojna na europejskich frontach weszła w stadium chwilowej „równowagi”.

Premier Churchill raz jeszcze przestrzegał przed żywieniem nadziei na bardzo rychłe zakończenie wojny, podając wiosnę lub nawet pierwsze miesiące lata 1945 r. jako przypuszczalny termin osiągnięcia zwycięstwa nad Niemcami, skwapliwie dodając, że po tym czasie, 18 miesięcy będzie potrzeba dla pokonania Japonii.

Już po buńczucznej zapowiedzi Stalina, że wkrótce w Berlinie załopocą sowieckie sztandary, w przemówieniu 9 listopada na śniadaniu u lorda majora Londynu — premier był jeszcze ostrożniejszy, mówiąc: „nie należy nikogo ganić — pod warunkiem, że nie zmniejszy swych wysiłków — za żywienie nadziei, że sprzymierzeni osiągną zwycięstwo i pokój spłynie na Europę w roku 1945”.

Równocześnie padają zapowiedzi, że nadchodząca zima nie będzie oznaczała przerwy w działaniach wojennych, a przeciwnie, że zewsząd przygotowuje się nowe potężne ciosy przeciwko obleżonej niemieckiej fortecy.

Komunikaty niemieckie przestrzegają, że po czasowej przerwie napewno Ro-



Z walk 2 Korpusu: Saperzy „Kresowej” znaczą białą taśmą przejścia wolne od min

sanie przedsięwzją gwałtowną ofensywę na Prusy Wschodnie i Polskę, a równocześnie Amerykanie i Brytyjczycy podejmą na wielką skalę ofensywne działania na zachodzie, do czego obecna ofensywa 3-ciej armii amerykańskiej przez Mozele stanowi jedynie preludeum.

W ocenie dotychczasowych wysiłków i znaczenia poszczególnych frontów wojennych daje się zauważyć poważne rozbieżności.

Stalin w mowie, z okazji rocznicy rewolucji październikowej, armii sowieckiej przypisuje zasługę wiązania 204 dywizji niemieckich i węgierskich na froncie wschodnim, twierdząc, że na zachodzie sprzymierzeniwiążą tylko 70 dywizji.

Tezie Stalina prasa brytyjska przeciwstawia twierdzenie, że straty niemieckie na zachodzie i wschodzie były w tym roku równe, a to jest przecież lepsza miara skuteczności ciosów, zadawanych niemieckiej machinie wojennej, niż przypuszczalna liczba związanych dywizji. Jeśli nie zapomnimy, że do obliczenia „równych” strat niemieckich na zachodzie i wschodzie, jako podstawa służyły dane sowieckie z frontu wschodniego, zrozumiemy, że już dziś w wojnie przeciwko Niemcom conajmniej równy sowieckiemu ciężar ponoszą sprzymierzeni. A wiele jest danych, wskazujących na

to, że główny ciężar wojny ponoszą już dziś Anglosasi, a nie Z.S.R.R.

Rosja Sowiecka natomiast wykorzystując glorię, jaka otacza jej dotychczasowe osiągnięcia wojenne, coraz bardziej bezwzględnie narzuca siebie jako arbitra w decyzjach politycznych, kształtujących nie tylko losy Europy, ale w znacznym stopniu i świata całego.

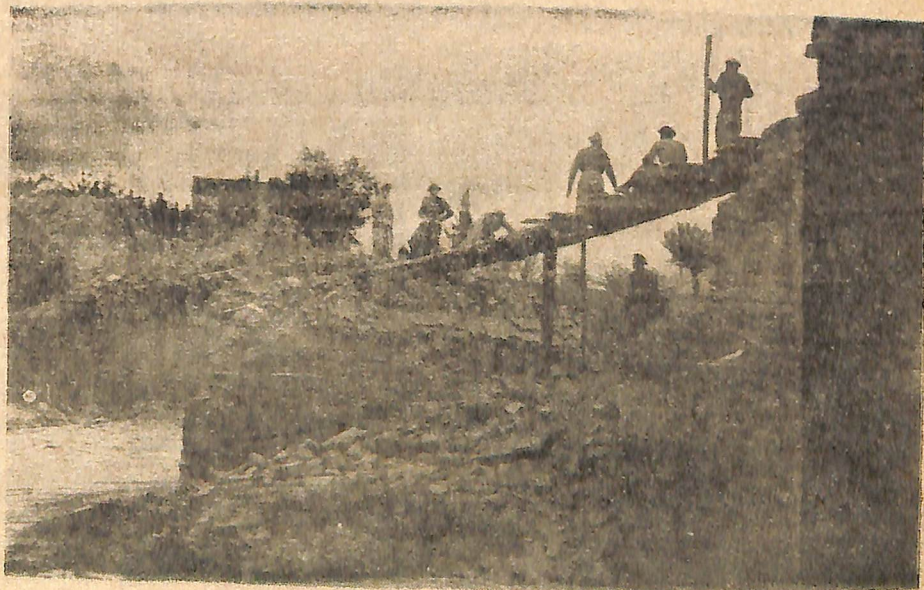
„Jeśli chodzi o sytuację na frontach w ciągu ostatnich 8-10 tygodni, byliśmy świadkami 2 zacieklej i kosztownych zmagania — pierwszego w Apeninach — drugiego w Holandii” (Churchill).

We Włoszech przełamano „straszliwą barierę” Apenin i linii Gotów, wojska sprzymierzonych zeszły do doliny Padu, mając przeciwko sobie „armię prawie równie wielką, jak nasza własna”.

Całe terytorium Grecji zostało oczyszczone z wojsk niemieckich.

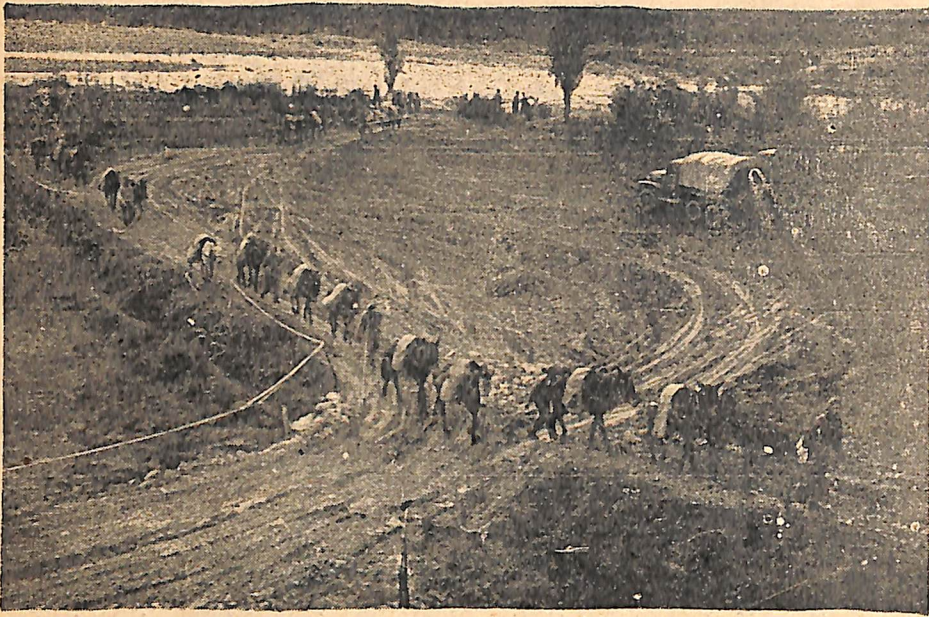
W Holandii tymczasem otwarto ostatecznie ujście Szeldy, co pozwoli wkrótce na wykorzystanie portu Antwerpii. Walki w Holandii należą do najcięższych w tej wojnie. Niemcy bronią zaciekle każdego kanału i każdej wyspy.

We Francji 3 armia amerykańska rozpoczęła ofensywę w kierunku na Strassburg, zmierzając do wyrzucenia ostatnich



Z walk 2 Korpusu: Na górskim odcinku „Kresowej”

(fot. Chruściel)



Na nowym odcinku „Kresowej” znowu pojawiły się muły  
(fot. Chrusciel)

sił niemieckich z terytorium Francji pomiędzy Mozelą a granicą Rzeszy.

Na froncie wschodnim po przerwie, która trwa od 2 miesięcy na odcinku środkowym tj. na odcinku Wisły — ustabilizował się również front północny; ofensywa niemiecka na Prusy Wschodnie została powstrzymana przed wejściem armii czerwonej na teren błot mazurskich.

Jedynie na Węgrzech i w Jugosławii trwały postępy sowieckie, lecz chwilowo Malinowski stanął u wrót Budapesztu i w każdym razie nie zrobił ze stolicy Węgier podarku Stalinowi na dzień rocznicy październikowej rewolucji.

Zgodnie z przestrogią Dittmara chwilowe przyciszenie należałoby traktować jako „ciszę przed burzą”.

### Filipiny i Kweiling

Tymczasem na Dalekim Wschodzie działania wojenne są coraz bardziej intensywne. Wojska amerykańskie przeprowadziły pomyślnie najsmielszą ze wszystkich dotychczasowych operacji na tym teatrze działań wojennych, lądując w samym sereu Filipin — na wyspie Leyte.

Trzy potężne zagony floty japońskiej, która wreszcie wypłynęła z ukrycia, zmierzające do zniszczenia koncentrycznym manewrem desantu amerykańskiego, nie tylko nie osiągnęły swego celu, ale poniosły poważne straty i zmuszone zostały do wycofania się. Rozgorzałe na wyspie Leyte walki mają charakter niezwykle zaciekle. Pomimo rzucania przez japońskie dowództwo coraz to nowych posiłków, nie ulega wątpliwości, że Amerykanie utrzymają się na Filipinach, a co za tym idzie, usadowią się w czułym punkcie japońskich imperialnych morskich szlaków. W naczelnym dowództwie japońskim nastąpiły poważne zmiany będące zapewne echem sukcesów amerykańskich.

Natomiast na kontynencie azjatyckim Japończycy prowadzą zakrojoną na ogromną skalę ofensywę w Chinach. Z dwu stron uderzyli w kierunku miasta Kweiling (patrz mapka), zdobyli Kweiling i dążą do zamknięcia pierścienia i ustanowienia bezpiecznego lądowego połączenia przez Chiny do Birmy i Singa-

pur, co może w znacznym stopniu rekompensować skutki usadowienia się Amerykan na Filipinach.

Sytuacja militarna Chin jest trudna. Pogarsza ją jeszcze bardziej sytuacja polityczna, napięta przez grę komunistów. W Chinach sytuacja rozwija się wedle tych samych wzorów co w Jugosławii i w Polsce. Rozsadzające państwo chińskie od wewnątrz czynniki komunistyczne oskarżają wodza zjednoczonych Chin o ... rozbijanie chińskiej jedności, polegające na tym, że nie chce on wydać swej ojczyzny na łup komunistycznych agentur i żywi przekonanie, że dla przyszłości Chin niewola japońska, czy panowanie komunistów w Chinach oznacza się samo. Armie Czang Kai Sze oskarża się już nawet o ... kontrabandę na rzecz Japończyków.

Narazie na żądanie Czang Kai Szeka usunięty został głównodowodzący amerykańskimi siłami wojennymi na tym terenie gen. Stillwey, a w ślad za nim ustąpił ambasador amerykański E. Gauss.

Dowodem zwiększonego zainteresowania się Z.S.R.R. sprawami podziału Azji jest nieoczekiwane określenie Japonii jako „agressora” w mowie Stalina. Czy stanowi to jedynie podbicie ceny, za którą Z.S.R.R. gotów jest ostatecznie nie tylko w sprawach rybołówstwa porozu-



Dwie ofensywy japońskie w Chinach

mieć się z Japonią, czy też jest to krok mający uzasadnić udział Z.S.R.R. w podziale Chin, narazie nie wiemy, podobnie jak nie wiemy jeszcze, gdzie w Chinach ma przebiegać linia Curzona. Przyszłość okaże.

O ile w Chinach ostatecznie linię Curzona można narazie prowadzić podobnie „bezkarnie” jak na żywym ciele Polski, o tyle linia Curzona poprowadzona przez Persję, leżącą zbyt blisko Indyj i znacznie niż Polska bogatszą w naftę, byłaby nie do zniesienia dla interesów anglosaskich.

### Nafta irańska i międzynarodowe linie lotnicze

Na terenie Iranu wybuchł otwarty kryzys pomiędzy interesami Z.S.R.R. i anglosaskimi. Oto w momencie, gdy „rząd perski przygotowywał się udzielenia koncesji na eksploatację ropy naftowej” jednej z firm anglosaskich, z żądaniem przyznania koncesyj wystąpiła Rosja Sowiecka. Rząd perski zdecydował się odłożyć udzielenie koncesyj firmom anglosaskim, ale Z.S.R.R. czekać nie chce. Moskwa zapewnia, że masy perskie całkowicie popierają żądania sowieckie; prasa amerykańska donosi, że rząd obecny Mohammed Maraghei Saed’a najprawdopodobniej będzie musiał ustąpić, lecz nowy rząd zapewne będzie prowadził tę samą politykę i koncesyj Związkowi Sowieckiemu nie udzieli. Prasa amerykańska przypomina, że źródła naftowe w Iranie są prawdopodobnie najbogatsze w świecie; przypomina się traktaty, którymi wielej sojusznicy zobowiązali się szanować suwerenność Iranu i w 6 miesięcy po zakończeniu działań wojennych wojska swe z Iranu wycofać; ba, nawet przypomniano, że na terenach okupowanych przez wojska czerwone nawet Persowie nie mogą się poruszać bez zezwolenia władz sowieckich. Więcej, w dniu rocznicy październikowej rewolucji perska policja i wojska pozwoliły sobie w Teheranie na krok, na który w chwili obecnej nie odważyłby się żaden z rządów krajów świeżo z pod okupacji niemieckiej wyzwolonych: po prostu wkroczywszy do jednego z gmachów teherańskich, aresztowano organizatorów mitingu poświęconego rocznicy październikowej rewolucji. Lecz i nafta perska ma swój aspekt... polski. Oto oficjalna osobistość amerykańska oświadcza przedstawicielowi „United Press”, że sprawa nafty irańskiej może wkrótce zupełnie przyćmić sprawę polską.

O, gdyby polska krew miała cenę nafty irańskiej!

Już poprzednio Związek Sowiecki odwołał jadących już do Chicago przedstawicieli Z.S.R.R. na odbywającą się tam międzynarodową konferencję lotniczą. Okazało się, że rząd sowiecki nie może zasiadać przy jednym stole obrad z przedstawicielami tak faszystowskich krajów jak Hiszpania, Portugalia, a przede wszystkim... Szwajcaria. Zabiegi tej ostatniej o nawiązanie stosunków dyplomatycznych z ojczyzną proletariatu i wyrocznią demokracji, zostały odrzucone z należytą pogardą, na jaką w pełni zasłużyła wiekowa „kolebka tyranii” — Szwajcaria.

## Od Czang-Kai-Szeka do Thoreza

Od dalekich Chin, gdzie w momencie śmiertelnych zmagania tego kraju podkopyje się autorytet jego wodza, bo nie jest komunistą, przez Iran, gdzie premier jest faszystą, bo pod groźbą zbrojnej przemocy kraju swego sprzedawac nie chce, przez wszystkie kraje Europy, aż do jej najbardziej zachodniego hiszpańskiego krańca, wszędzie na żywym ciele narodów, które jeszcze nie mogły zapomnieć faszystowskiego wydania tyranii, makabryczny taniec szatanów rozpoczęły obcej potędze zaprzędane moce, zmierzające do wydania Europy i świata na łup innego koloru tyranii.

W Rumunii znowu zmienił się rząd, tym razem wolny już od doświadczonych przewódców w rodzaju Maniu, a o krok bliższy do sowieckiego ideału. Do Rumunii pojechał p. Wyszyński przypilnować wykonywanie przez Rumunię poddyktowanych jej warunków. Marsz. Tito znowu poleciał do Moskwy. W Grecji uwolnionej już w całości od wojsk hitlerowskich zakwitły czerwone sztandary, a oddziały partyzanckie ELAS'u zdawały się być o krok od zagarnięcia władzy. Lecz Grecja leży blisko Suezu, a uwolniły ją wojska brytyjskie. To też premier Papandreu, a po nim generał Ronald Scobie, mogli wyznaczyć termin rozbrojenia „patriotów” na rzecz regularnych sił państwa greckiego. We Włoszech pełne ręce roboty ma policja kryminalna i nie kryminalna nietylko ze ściąganiem faszystów, ale i coraz to nowymi morderstwami, czy nawet, jak w wypadku Palermo, rozruchami.

Do Francji powraca świeżo amnestiowany z Moskwy dezerterski z armii francuskiej, przewódcą komunistów francuskich Thorez.

We Francji „narodowa rada oporu” mocno protestowała przeciwko zarządzeniom nakazującym wcielenie oddziałów partyzanckich w szeregi armii francuskiej. Ale brzeg Francji omywają wody kanału La Manche, toteż z wizytą do „cierpkiego” i umięjącego twardo bronić interesów swego kraju gen. de Gaulle'a wyjechał Churchill, a wybiera się Roosevelt.

Granicę hiszpańsko francuską przeszły oddziały hiszpańskich republikanów, a w samej Hiszpanii poważne niepokoje i walki rozgorzały w prowincjach: Galicja, Estremadura i Andaluzja.

Nie dziw, że na tym tle coraz częściej pojawiają się w prasie anglosaskiej głosy rozważające różne aspekty podziału Europy na dwie sfery wpływów: brytyjską i sowiecką, nie unikające dla tych sfer i innych nazw jak „komunistyczna” i „demokratyczna”, „materialistyczna” i „chrześcijańska”.

## Po wyborze Roosevelta

Naród amerykański stosunkowo skromną większością głosów (w chwili, gdy piszemy te słowa ilość podliczonych głosów na Roosevelta wynosi 23.597.000, na Dewey'a 20.742.000) po raz czwarty swe losy złożył w ręce prezydenta Roosevelta. Napewno nie małą rolę w tej decyzji amerykańskiego narodu odegrała chęć umożliwienia jak najskuteczniejszego, nieprzerwanego prowadzenia wojny przez tego samego człowieka, który ją od początku prowadzi i z racji swego stano-



Spadochroniarze polscy w Holandii

wiska jest równocześnie naczelnym wodzem armii amerykańskiej.

Z wyboru prezydenta Roosevelta wyraża swe „zadowolenie” Moskwa, premier Churchill wyraża swą osobistą radość i natychmiast zapowiada następne spotkanie wielkiej trójki, które wedle niektórych głosów powinno odbyć się przed końcem tego roku, a może nawet jeszcze w tym miesiącu. Na spotkanie to czekają nietylko najważniejsze dalsze decyzje strategiczne doprowadzenia wojny z Niemcami do zwycięskiego końca, ale i liczne i zawikłane problemy polityczne, komplikujące się stale od momentu wejścia do obozu sprzymierzonych eurazjatyckiego partnera, mającego nietylko szerokie żądania, ale i specyficzne, jak je lubi nazywać anglosaska prasa, metody postępowania, a którego niewątpliwą zasługą, oprócz bezspornych osiągnięć militarnych, jest uczynienie tej wojny „coraz mniej ideologiczną”.

\* \* \*

Z niesłychanie pobieżnego rzutu oka na rysujące się na przestrzeni jednego miesiąca wypadki, widzimy, że coraz więcej nagromadza się poważnych problemów, które nie mogą być rozwiązane mechanicznie według woli silniejszego;

o ile cały ogromny wysiłek tej wojny nie ma okazać się daremny.

Sprawa polska jest tych nierozwiązanych zagadnień na pograniczu siły i prawa probierzem, ale bynajmniej nie jedynym. Grzechem przed historią nie do darowania byłoby rzucenie przez nas samych losu naszego państwa jako ofiary na rzecz ratowania interesów i łagodzenia przeciwności „możnych tego świata”, a obowiązkiem racji stanu i chwili dziejowej jest bezkompromisowe stawianie sprawy polskiej jako probierza ideałów, które świat cywilizowany wyznawać musi pod groźbą samobójstwa w razie wyrzeczenia się ich.

Codzienny żołnierski czyn i krwawa, trudna żołnierska droga jest wyzwaniem rzuconym światu, za które nam kiedyś bardziej niż za wrześniejąca decyzję świat będzie wdzięczny i jest jedyną drogą, która do wolnej Polski prowadzi i doprowadzi, choć napewno nikt z nas dziś nie wie jeszcze, przez jakie losy koleje.

Każdy natomiast następny etap kapitulacji jest niczym innym, jak tylko obniżaniem własnej wartości, marnotrawieniem kapitału nagromadzonego przez walkę całego narodu, a tak potrzebnego na decydującą chwilę.

M. p. 10. XI. 1944.

Jarosław Żaba



Tanki polskie na ulicach miasta Ghent (Holandia)



Zmarli na wygnaniu w ZSRR

## ZADUSZKI

Zaduszki mają poczwórny sens i znaczenie.

Jest najpierw ich strona osobista i doczesna: potrzeba duszy ludzkiej, która chce i musi wracać myślą do tych co nam są bliscy, a umarli. Będą może sceptycy i racjoniści dowodzili bratu, który stracił brata, albo wdowie po poległym żołnierzu, że smutek i opłakiwanie grobów, nie ma sensu ni celu. Ale, pomijając już sprawę naszej wiary w nieśmiertelność naszej duszy, ci mędrcy bez rozumu zapominają, że taka jest potrzeba ludzkiej natury i że są chwile w życiu człowieka, kiedy żadne mędrkowanie nie zastąpi mu prostego smutku czy płaczu nad drogą mogiłą. I dlatego nikt z nas wstydzić się go nie potrzebuje; przeciwnie, wstydzić by się powi-

nien, gdy wypruwszy z duszy ludzkiej uczucia miłości i smutku, chciał o swoich zmarłych nie myśleć. Zaduszki mają swój sens i godność nawet na tej najprostszej, najbardziej indywidualnej i przedchrześcijańskiej płaszczyźnie.

W rzeczywistości Zaduszki są czymś znacznie więcej. Od wielu tysięcy lat chodzimy w ten sposób na groby, zapalamy świece i śpiewamy pieśni żałobne. Na Zaduszkach nie jesteśmy tylko sobą: w nas i przez nas działa, modli się i śpiewa większa od nas siła — wielowiekowa wspólnota duchowa i tradycja Polskiego Ludu. I choć ów pęd na groby w dzień pierwszego listopada wychodzi z ciemnych dziedzin podświadomych, choć jest pół-zwierzęcą, podobową mocą, nie mamy powodu się go

bać, ani unikać zanurzenia się w nim na chwilę. Ta więź, choć leży u niskich podstaw naszej jaźni, jest przecież potężną więzią z tym, czego także świadomie, jako ludzie i jako osoby, chcemy być częścią i sługami: Ludu Polskiego, jednego poprzez wieki swoim duchem i swoją kulturą. Zaduszki łączą nas z Polską. Będą nam mówili o konieczności postępu, zarzucenia „przestarzałych” form i obyczajów. Nie wierzymy: w tych formach i obyczajach żyje i przekazuje się z pokolenia w pokolenie treść naszego narodowego bytu. Miejmy odwagę, jak ludzie świadomi swojego miejsca pod słońcem, przyznawać się do tego prastarego obrzędu, brać w nim udział całą naszą istotą i sercem.

Odwieczne zaduszkowe obrzędy przejęte są u nas od lat tysiąca, przemienione przez Chrześcijaństwo. Zaduszki nie przestały być przez to przejawem ducha plemiennego, ale stały się czymś znacznie więcej — jak wszystko, czego dotknął geniusz naszej Wiary. Na mętne tło przekonania o jakimś życiu pozagrobowym Ewangelia przyniosła nam pewność nieśmiertelności duszy i nie znany pogańskiemu światu dogmat świętych obcowania. Ten zwłaszcza ostatni sprawia, że obrzęd żałobny nabiera głębokiego duchowego sensu. Idziemy na groby, bo one pomagają nam w uprzytomnieniu sobie Zmarłych, ale idziemy nie do ich prochów, lecz po zetknięcie z ich duchem. Jest prawdą naszej Wiary, że ten kontakt jest nie tylko możliwy, ale i nakazany: w modlitwie. Chrześcijańskie Zaduszki, to już nie tylko wspomnianie Tych co odeszli, ani pełnienie atawistycznie przekazanej nam funkcji społecznej, ale dzień modlitwy za umarłych, opartej na wierze, że wszystkie mosty z Nimi nie są zerwane i że serdeczna prośba o miłosierdzie Boskie ma rzeczywisty wpływ na nich i dla nich znaczenie.

## Opowieść o Cichowskim

(z ADAMA MICKIEWICZA III cz. „Dziadów“, scena VII, „Salon Warszawski“)

Znałem go, będąc dzieckiem. — Był on wtenczas młody, żywy, dowcipny, wesół i sławny z urody; Był duszą towarzystwa; gdzie się tylko zjawił, Wszystkich opowiadaniem i żartami bawił; Lubił dzieci i często brał mnie na kolana. U dzieci miał on tytuł wesołego pana. Pamiętam włosy jego; nieraz ręce moje Płatałem w jasnych włosów kędzierzawe zwoje; Wzrok pamiętam: musiał być wesóły, niewinny, Bo kiedy patrzył na nas, zdawał się dziecinny; I patrząc na nas, wabił nas do swej żrenicy. Patrząc nań, myśleliśmy, żeśmy rówieśnicy. On wtenczas miał się żenić; — pomne, że przynosił Dzieciom dary swej przyszłej i na ślub nas prosił. Potem długo nie przyszedł, i mówiono w domu, że niewiedzieć gdzie zniknął, umknął pokryjomu, Szuka rząd, ale śladu dotąd nie wytropił; Nakoniec powiedziano: zabił się, utopił. Policja dowodem stwierdziła domysły; Znalezione płaszcze jego nad brzegami Wisły; Przyniesiono płaszcze żonie; poznała: on zginął; Trupa nie znaleziono — i tak rok przeminał. Dlaczegoż on się zabił? Pytano, badano, Żałowano, płakano; wreszcie zapomniano. I minęło dwa lata. — Jednego wieczora Więźniów do Belwederu wiedziono z klasztoru. Wieczór ciemny i dżdżysty; nie wiem, czy przypadkiem,

Czy umyślnie ktoś był procesji świadkiem; Może jeden z odważnych warszawskich młodzieńców, Którzy śledzą pobytu i nazwiska jeńców; Warty stały w ulicach, głucho było w mieście — Wtem ktoś z za muru krzyknął: więźnie, kto jesteście? Sto ozwało się imion; wśród nich dosłyszano Jego imię i żonie nazajutrz znać dano. Pisała i latała, prosiła i błagała, Lecz prócz tego imienia nie nie posłyszwała. I znowu lat trzy przeszło bez śladu, bez wieści. Lecz nie wiedzieć kto szerzył w Warszawie powieści, że on żyje, że męczy, że przyznać się wzbrania, I że dotąd nie złożył żadnego wyznania; że mu przez wiele nocy spać nie dozwolano, że karmiono śledziami i pić nie dawano; że pojono opijum, nasyłano strachy, Larwy; że łaskotano w podeszwy, pod pachy. — Lecz wkrótce innych wzięto, o innych zaczęli Mówić; żona płakała, wszyscy zapomnieli.

Aż niedawno, przed domem żony w nocy dzwonią; Otworzono: officer i żandarm pod bronią, I więzień — On! Każą dać pióra, papieru, Podpisać, że wrócony żywy z Belwederu. Wzięli podpis i palcem pogroziwszy: „jeśli Wydasz...”, i nie skończyli; jak weszli, odeszli. To on był. — Biegnę widzieć; przyjaciel ostrzega: Nie idź dzisiaj, bo spotkasz pod progami szpiega. Idę nazajutrz, — w progu policyjskie draby; Idę w tydzień: on sam mnie nie przyjmuje, słaby. Aż niedawno, za miastem w pojeździe spotkałem. —

Ta sama katechizmowa prawda ma inny jeszcze, a tak niestety mało u nas znany aspekt. Wynika z niej i to, że nasi Zmarli są, nie przenośnie tylko, ale naprawdę i w wyższy niż możemy pojąć sposób, z nami i wśród nas. Uczy o zbawionych doktryna Kościoła, że więcej wiedzą o swoich bliskich i sprawach, które im były drogie za życia, niż wiedzieli kiedykolwiek za życia. Ze matka, która pozostawiła dzieci, jest z nimi w każdej chwili i wszędzie, a żołnierz, co padł na polu bitwy, dostrzega z tamtej strony, lepiej niż ktokolwiek z żyjących, każdy ruch swojego oddziału i każdą fazę walki, której nie danym mu było skończyć na ziemi. Uczy także o ich woli pomagania nam we wszystkich naszych dobrych sprawach i łączności z nami w każdym prawym czynie.

I dlatego Zaduszki także z chrześcijańskiego stanowiska mają charakter w najwyższym stopniu społeczny. Są dniem pełniejszego uświadomienia sobie naszej z Nimi łączności w służbie Bożej Sprawy. Zostawili na ziemi nie dokończone dzieło. Opuścili pole walki i poszli po wieczną nagrodę. Na ziemię, na przebieg wojny, którą toczyliśmy, mogą mieć wpływ pośredni tylko przez Boga, o ile z Nim już są na wieki — nie staną nigdy więcej z nami w szeregu i martwa ich ręka nie podniesie broni. Ale woła wszystkich wiernych Zmarłych jest z nami. Chcą całą potęgą swego wolnego ducha, byśmy walkę toczyli dalej, by była wygrana.

I dlatego dwie rzeczy znaczyć powinny dla nas Zaduszki: modlitwę za zmarłych

o wieczny w Bogu odpoczynek — i nową wolę służby sprawie, która jest ich sprawą.

Wyjdźmy z cmentarza w ten dzień smutni żałobą po tych, którzy mają prawo do naszej miłości; wyjdźmy starożytnym obrzędem umocnieni w polskiej jedności i z sercem pełnym modlitwy za tych, co odeszli. Ale wyjdźmy także straszni i nieugięci w postanowieniu, że Polska, dla której Oni padli, nie damy, że Ich wolę zwycięstwa przeprowadzimy — bez względu na to, co się stanie i kto nam stanie na drodze — twardo i bez kompromisów aż do zwycięstwa.

I. M. Bocheński, O. P.

## TYM, KTÓRZY POLEGLI NA WŁOSKIEJ ZIEMI

Święto umarłych. Dzień, w którym nasze myśli płyną do tych, którzy od nas odeszli.

W 1939 roku byłem po raz ostatni na lwowskim cmentarzu w dzień Wszystkich Świętych. Bolszewicy zabronili zapalania świec, ale kwiatów było jak zwykle bardzo dużo. Przed koszarami na ul. św. Piotra i Pawła stał żołnierz bolszewicki i zabraniał przechodzenia obok koszar, trzeba było przejść na drugą stronę ulicy.

Nie wiadomo, co będzie jutro, dzisiaj jak zwykle co roku trzeba spędzić ten dzień z naszymi Zmarłymi. Byliśmy bardzo przybici i przygnębieni. Miało się chwilami takie uczucie, że wszystko już stracone i znikąd nie ma ratunku, że zakopano nas żywcem do grobu i zatrzaśnięto wieko trumny, aby żaden krzyk

nie wydobył się i nie wzruszył sumieniami wolnych narodów.

Ludzie w skupieniu modlili się na mogiłach, prosząc Boga i Zmarłych o pomoc i zmiłowanie. W pewnej chwili, gdy spoglądałam na świerki okalające drogę mi mogiłę, ujrzałam na wysokości jakichś 2 metrów przybity biały wąski pasek papieru. Dużymi kaligraficznymi literami napis: „Polska nie zginęła”. Takie same kartki były na grobie Konopnickiej, Szajnochy, Piotra Chmielewskiego, Tadeusza Rutowskiego, Benedykta Dybowskiego, Bronisława Szwarcego (członka Rządu Narodowego 1863 r.), Wizunasa Szydłowskiego, Bolesława Wysloucha, Bełzy, Sobińskiego, Galla, na krzyżu ku czci pomordowanych w Krocach i wielu grobach zasłużonych dla Kraju i miasta. Nie zastanawiałam się

skąd się wzięła kartka, ale ta mała biała karteczka \*) przyczyniła się, że nie tylko ja, ale wielu ludzi, może poraz pierwszy od pamiętnych dni wrześniowych, doznało ukojenia: Polska nie zginęła.

\*) Kartki te napisali wnukowie Bronisława Szwarcego. Trzej mali chłopcy, urodzeni w Ameryce, przybyli w r. 1937 do Polski, ojczyzny swego wielkiego Dziada. Nie umieli ani jednego słowa po polsku, czuli się jednak Polakami i szybko opanowali język polski. Najstarszy Bronisław był w r. 1939 uczniem 1 kl. gimn. Korpusu Kadetów im. Józefa Piłsudskiego. Mały Broniek, gdy Lwów został zajęty przez wojska bolszewickie, inaczej nie wychodził na ulicę tylko w mundurze kadeckim, przepasany skórzanym pasem.

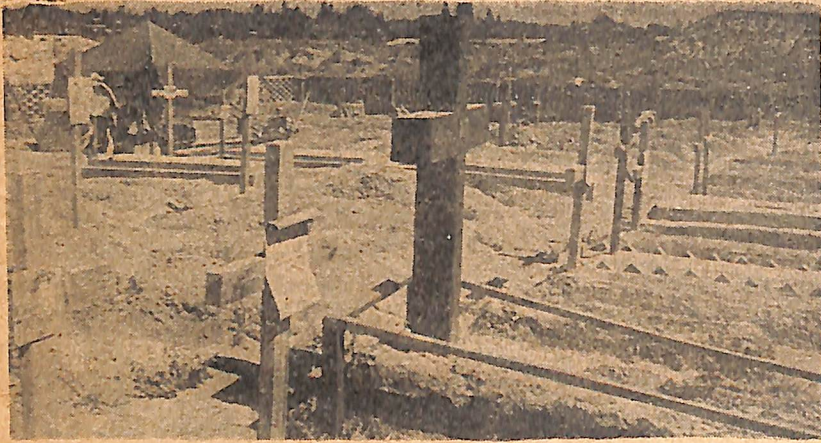
Powiedziano, że to on: bo go nie poznałem.  
Utył, ale to była okropna otyłość;  
Wydeła go zła strawa i powietrza zgniłość;  
Policzki mu nabrzmiały, poźółkły i zbladły,  
W czole zmarszczki pół wieku, włosy wszystkie spadły.  
Witam: on mię nie poznał, nie chciał mówić do mnie;  
Mówię, kto jestem; patrzy na mnie bezprzytomnie.  
Gdym dawnej znajomości szczegóły powiadał,  
Wtenczas on oczy we mnie utopił i badał.  
Ach; wszystko, co przecierpieł w swych męczarniach

[dziennych,

I wszystko, co przemyślił w swych nocach bezsennych;  
Wszystko poznałem w jednej chwili z jego oka!  
Bo na tem oku była straszliwa powłoka  
Zrenicie miał podobne do kawałków szklanych,  
Które zostają w oknach więzień kratowanych,  
Których barwa jest szara jak tkanka pajęczą,  
A które, patrząc z boku, świecą się, jak tęcza;  
I widać w nich rdzę krwawą, iskry, ciemne plamy,  
Ale ich okiem nawskroś przebić nie zdołamy;  
Straciły przezroczystość, lecz widać po wierzchu,  
Ze leżały w wilgoci, w pustkach, w ziemi, w zmierzchu. —  
W miesiąc poszedłem znowu; myślałem, że zdoła  
Rozpatrzeć się na świecie i pamięć przywoła.  
Lecz tyle tysięcy dni był pod śledztwa próbą,  
Tyle tysięcy nocy rozmawiał sam z sobą,  
Tyle lat go badały mękami tyrany,  
Tyle lat otaczały słuch mające ściany,  
A całą jego było obroną — milczenie,  
A całym jego były towarzystwem — cienie;

Ze już się nie udało wesołemu miastu  
Zgładzić w miesiąc naukę tych lat kilkunastu.  
Słońce zda mu się szpiegiem, dzień donosicielem,  
Domowi jego — strażą, gość nieprzyjacielem.  
Jeśli do jego domu przyjdzie kto nawiedzić,  
Na klamki trzask on myśli zaraz: idą śledzić;  
Odwraca się i głowę na rękę opiera;  
Zdaje się, że przytomność, moc umysłu zbiera,  
Ścina usta, by słowa same nie wypadły,  
Oczy spuszcza, by szpiegi z oczu co nie zgadły.  
Pytany, myśląc zawsze, że jest w swem więzieniu,  
Ucieka w głąb pokoju i tam pada w cieniu,  
Krzyżąc zawsze dwa słowa: „nie nie wiem, nie powiem”.  
I te dwa słowa jego stały się przysłowiem.  
I długo przed nim płacze na kolanach żona  
I dziecko, nim on bojaźń i wstręt swój pokona.

Przeszłą niewolę lubią opiewać więźniowie;  
Myślałem, że on ją nam najlepiej opowie,  
Wyda na jaw z pod ziemi i z pod straży zbirów  
Dzieje swe, dzieje wszystkich Polski bohaterów.  
Bo teraz Polska żyje, kwitnie w ziemi cieniach,  
Jej dzieje na Sybirze, w twierdzach i więzieniach. —  
I cóż on na pytanie moje odpowiedział?  
Ze o swoich cierpieniach sam już nie wiedział.  
Nie zapomni! — Jego pamięć zapisana cała,  
Jak księga herkulańska pod ziemią spróchniała!  
Sam autor zmartwychwstały nie umie w niej czytać.  
Rzekł to: będę o to Pana Boga pytać,  
On to wszystko zapisał, wszystko mnie opowie...



Grób ochotniczki Balickiej na cmentarzu w Jangi-Jul

Dziwne były później koleje mego życia. Nie byłam od tego czasu na żadnym cmentarzu w dzień Wszystkich Świętych. Dopiero w tym roku postanowiłam odbyć pielgrzymkę na włoskie cmentarze, na których leżą pochowani żołnierze 2 Korpusu.

W przeddzień święta umarłych ochotniczki P.S.K. uporządkowały groby i ozdobiły je kwiatami.

Droga nasza prowadzi przez piękny kraj, szczególnie po piaskach pustyni oko odpoczywa, patrząc na zielone gaje oliwne i zbocza gór obrosnięte bukami, które o tej porze grają kolorem żółta i czerwieni. Szmaragdowe skrawki zieleni dodają jakiejś soczystości ziemi. Pogoda śliczna i spokoj w powietrzu. Niebo błękitne, bez jednej chmurki. Wojna przeszła tędy i jak gdyby nic się tutaj nigdy nie działo. Przybyło tylko dużo samotnych i zbiorowych mogił z zatkniętym białym krzyżykiem, na którym wypisane nazwisko i numer rejestracyjny.

Przy drodze do Castelfidardo jest właśnie taka samotna mogiła, kryjąca zwłoki Szubińskiego Stefana, urodzonego w 1911 r., który zginął 5.VII.44 r. Pochowany na miejscu walki. Zostawiamy biało-czerwone kwiaty.

Zatrzymujemy się na cmentarzu w Porto Recanati. Mały włoski cmentarzyk na słonecznym i bezdrzewnym kwadracie ziemi, kryjącej kilkanaście mogił naszych bohaterów. Podchorąży Zbyszek Okulicki, lat 20, ukochany jedynak i duma niepocieszony w żalu matki. Słońce było w oczach tego peł-

nego życia chłopca, gdy mówił o niej. Langsam Zygmunt z Zywca. Na jednym cmentarzu leży, choć nie ma krzyża, ale gwiazdę Dawida zatkniętą na grobie. Białymi chryzantemami zdobimy każdy grób żołnierski.

Krętą i co raz bardziej wznoszącą się przez zbocza górskie dróżką jedziemy na cmentarz do miasta Recanati. Tam spotyka nas wzruszająca niespodzianka. Groby naszych bohaterów toną w kwiatkach. Małe włoskie „bambina” układają z białych kamyków na każdym grobie krzyżyk. Jakaś mała, może ośmioletnia „signorina” klęczy przy mogile por. Hoffa i układa kwiaty. Każdym grobem opiekuje się kilkoro dzieci. Starsza siwa pani odmawia głośno różaniec, modlą się z nią razem i inne kobiety włoskie. Podchodzę i dziękuję za opiekę nad mogiłami naszych żołnierzy. To Akcja Katolicka Kobiet miasta Recanati zaopiekowała się grobami.

Jedziemy następnie do Porto S. Giorgio. Ochotniczki z Domu Wypoczynkowego uwiły wieńce i zawiesiły na krzyżach. Nie takie polskie wieńce ze świerka czy dębu, ale z gałązek palmowych, liścia fikusa i lauru. Parę metrów od naszych mogił leżą żołnierze niemieccy. Jakżeż często spotyka się polskie nazwiska. Willi Lukaj — zginął także za Ojczyznę.

Na tej trasie mamy jeszcze cmentarz w Fermo. Zdała widoczny, bo leży na dominującym wzgórzu i jak prawie wszystkie włoskie Campo Santo okolony cyprysami, które nadają jakiegoś żałobnego

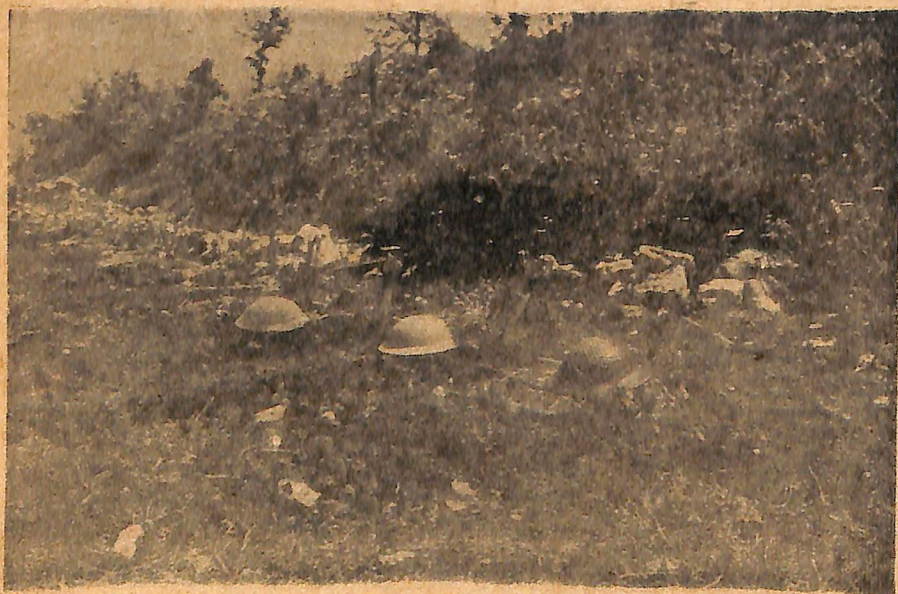
i smutnego charakteru. Panuje tutaj dziwny i obcy nam zwyczaj. Wiosni w dzień Wszystkich Świętych wynoszą portrety zmarłych. Na każdym prawie grobie czy małej kapliczce-mauzoleum stoi po kilka fotografii czy portretów w ramach.

Na cmentarzu w Fermo dużo wspaniałych grobowców. Tabliczka z napisem „Polski Cmentarz” wskazuje nam, że nasze żołnierskie mogiły znajdują się na końcu cmentarza tuż pod murem. Jest ich niewiele. Leżą w żołnierskim ordynku. Napis na grobie ułana Molińskiego Piotra: „Poległ śmiercią żołnierską 27. VI.44 r. w drodze powrotnej do Ojczyzny nad rzeką Chienti”. W skupieniu modlimy się za dusze tutaj poległych, za pomordowanych w obozach niemieckich i w Katyniu, za poległych na Polu Chwały w Warszawie. Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie...

Jest już godzina czwarta po południu. Udajemy się na cmentarz w Loretto Stacji. Na cmentarzu dużo ludności cywilnej. Groby naszych żołnierzy toną w kwiatkach. Pamiętają o nich ochotniczki ze Szpitala Nr. X. Na każdym grobie palą się lampki. Zatrzymuję się nad mogiłą por. Stefana Dmochowskiego. Wierne ręce żony zasadziły zimotrwałe kwiaty na grobie ukochanego męża. Obok mogiła Adolfa Bocheńskiego, świetnego pisarza, dzielnego żołnierza, którego śmierć jest niepowetowaną stratą dla Kraju. Skromna, metalowa tabliczka na krzyżu z wypisanym nazwiskiem i ze znakiem oddziału. Na tle księżycy dwie palmy. Adam Szumański, żołnierz Dywizji Strzelców Karpaccich, dr. filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego, urodzony w Limanowej 11.XI.1902 r. — poległ w Loretto 6.VII.44 r. Na czarnej marmurowej tabliczce maleńki srebrny krzyżyk jerozolimski świadczy, jaką Zmarły odbył drogę za życia. U dołu zielony świerczek, znak tak nam wszystkim znany. Ksiądz Kapelan odprawia żałobne egzekwie. Pieśnią „Boże coś Polskę”, my żywi prosimy Boga o zmiłowanie.

Naszą pielgrzymkę kończymy na cmentarzu w mieście Loretto. Cmentarz ten znajduje się w ogrodach watykańskich, u stóp Bazyliki Loretańskiej. We Włoszech będą dwa zbiorowe polskie cmentarze — jeden pod Monte Cassino, drugi w Loretto i tutaj zostaną przeniesione ciała tych poległych żołnierzy, którzy padli na odcinku Adriatyckim. Tutaj też, jak wszędzie, mogiły toną w kwiatkach. Zwraca uwagę duży wieniec laurowy z napisem w języku włoskim: „Cześć bohaterom, którzy padli w walce o wolność Italii”.

„Por. Riegel Witold, urodzony 19.IV. 1919 r., Kawaler Orderu Virtuti Militari, poległ na Polu Chwały dnia 18.VII.44 r. w walce o Anconę. Pozostawił w smutku Matkę i Siostrę”. Jerzego Grzymały Piątkowskiego cała mogiła tonie w biało-żółtych chryzantemach. Przy mogile Andrzeja Kapaleczyńskiego stoi matka, patrzy przed siebie, ale oczy jej nie dostrzegają ludzi. Może w tej chwili widzi swojego synka, małego chłopca, który był radością jej sereca. Twarz jej skupiona. Modli się za syna i męża, który zginął w Katyniu.



Mogiły żołnierskie pod Montecassino

Z cmentarza rozlega się wspaniałe widok na całą dolinę. Widać lazuruje morze. Piękne miejsce wybrano na to Campo Santo. Na cmentarzu rosną drzewa oliwne, nieznane u nas. Nie zaszumią naszym dzieciom, śpiącym tutaj snem wiecznym, polskie dęby czy brzozy. Niech śpią w spokoju. Z ich krwi powstanie Wielka, Cała, Niepodległa Ojczyzna.

A my im przyrzekamy, że o Nich nigdy nie zapomnimy, że Ich pamięć czcić będziemy bo —

jakież zmartwychwstaną umarli,  
jeśli ich nie ukochają żywi.

B. W.



Cmentarz w Jungi-Jul (ZSRK)

## PROŚBA

Przyszedł w nocy. Wyciągnął do mnie ręce —  
Wiesz — powiedział — nie spotkamy się więcej...

Sił zabrakło. Nie dottrzymałem kroku.  
Zamęczyli. Zakopali głęboko.

Jakto? Kiedy? Przecież wszyscy mówili...  
Ot, po prostu. Kolbą płuca odbili.

Życie ludzkie nie kosztuje tam drogo.  
Mimo wszystko... nie wydałem nikogo.

Teraz spokój. Nie ma żadnych kłopotów.  
Tylko żona... Ciągle czeka powrotu.

Wieczorami siada z synem i długo  
Opowiada jedną bajkę za drugą.

Ze buciki, jak wróce, kupi nowe,  
Ze przywiozę obiecany mu rower.

Coż ja zrobię z ukochanym bakiem?  
Chce mieć rower. Na dwóch kółkach. I z dzwonkiem!

... Nie miej za złe, że ci sen twój przerywam,  
Lecz ta sprawa wciąż na ziemię mnie wzywa.

Błądzą za mną syna mego oczęta —  
Czy też papo o rowerze pamięta?

Cóż poradzę, zakopany głęboko,  
Zagubiony w stu mgławicach i mroku?

Więc jak wrócisz... chciałbym prosić... pamiętaj —  
Kup ten rower... Bo to dla mnie rzecz święta.

Zonie powiedz, że ja proszę z daleka  
Niech mnie więcej nie wygląda, nie czeka.

I niech grobu nie szuka. Grób przeklęty!  
Chcę pozostać w jej pamięci... uśmiechnięty.

To już wszystko. Ja odchodzę. Nic nie mów,  
I nie pytaj, dokąd idę, ku Czemu.

Poza Błem już jestem, poza Grzechem,  
Ale syn mój mnie zbawi... swym uśmiechem.

Ryszard Kiersnowski

## ŻOŁNIERZ BEZ MUNDURU

W deszczowy, zimny wiosenny poranek 1942 r. w Działach-Abad szłam powoli zabłoconą ulicą ze szpitala do kompanii. Odwiedziłam koleżanki chore na tyfus. Tyle ich tam chorowało wtedy i później. Walka z epidemią toczyła się niemal bezustannie. Tam!

Nie wesołe myśli przerwała mi kobieta w cywilnym ubraniu, Polka z grupy świeżo przybyłego transportu z dalekiej północy.

— Proszę pani, tam gdzie nas w nocy umieszczono — tuż koło dworca, w „czajkanie” jest bardzo chora młoda dziewczyna, Maria Baranowska, studentka z Warszawy. Mówi, że była kurierką, że złapano ją z obciążającymi dokumentami, że bardzo męczono, bito. Może pani postara się o przeniesienie jej do szpitala wojskowego?

— Co jej dolega? Na co się skarży?

— Nie skarży się, tylko widać, że jest bardzo wyczerpana.

— Dobrze, proszę mnie do niej zaprowadzić.

Olbrzymia murowana izba z kamienną podłogą, bez pieców. Mężczyźni, kobiety, dzieci — gwar, ścis i straszliwy odór. Przepchałyśmy się do kąciaka. Na podłodze trochę łachmanów zawszawio-

nych i cuchnących. Nachyliłam się, chcąc zobaczyć, co, czy też kogo okrywają te łachmany. Wyjrzały do mnie spod nich na pół przytomne duże, ciemne oczy. Zapadnięta, szara twarz pokryta drobnymi krostkami, lekko wykrzywiła się w uśmiechu. Wargi poruszyły się, coś szeptać. Nachyliłam się niżej, żeby słyszeć.

— Pani w mundurze... orzełek... polskie guziki... Ja także niedługo... Dacie mi, prawda? Ja tylko osłabłam, ale nie mi nie jest... Do wojska... przyjmiecie?

Zadławiło mnie w gardle. Szukałam słów, któreby uspokoiły, pocieszyły — że tak, że przyjmą, że mundur, praca...

Dzięki D-cy Dywizji formalności przyjęcia do szpitala wojskowego załatwiono szybko. Odwiedzałam leżącą już w łóżku, wymyta, czysto przebraną. Głowę miała ogoloną, a jej żółta, pomarszczona twarz, obwisła skóra ciała dawały jej pozór starszki, choć była młoda, naprawdę młoda ta warszawska studentka.

Musiałam wierzyć temu, co mówiła. A mówiła, że jest szczęśliwa teraz.

— Tak mi tu dobrze wśród swoich. Ja prędko wyzdrowieję. Niech się pani

nie gniewa na mnie, ale ja... ja zazdroścę pani i innym... mundur...

Ciągle powtarzała to samo:

— Przyjmiecie mnie? Dostanę mundur?

O swoich przeżyciach mówiła niechętnie. To przeszło, to już nieważne. Teraz zacznij się to piękne i prawdziwe... To, co mi powiedziała, streszczało się w niewielu zdaniach: Była kurierką, szła do Białegostoku, a następnie do Wilna, wiozła pisemne instrukcje. Złapali i nie zdążyła zniszczyć. Męczyli — tak. I bili tak, tak — bili. — Oczy były wymowniejsze od słów. Czaił się w nich lęk jeszcze i tu, w tej bezpiecznej sali szpitalnej.

A przedtem? Przedtem Warszawa, dom na ulicy... (czy wolno mi ją wymienić nawet dziś, choć tej ulicy już niema?) Matka, ojciec, bardzo kochani, ale trzeba było, nie wolno było inaczej... Poszła z domu...

Codziennie zapewniała mnie, że lepiej się czuje. Ale ja wiedziałam, jak jest naprawdę. Któregoś dnia usnęła na wieki. Moje przyrzeczenia, że będzie z nami, nie mogły się urzeczywistnić, choć Bóg świadkiem, że przyrzekałam szczerze, że zasłużyła na mundur.

A kondukt pogrzebowy był według możliwości — wojskowy. Kobiety w mun-

durach niosły wieńce, tworzyły pluton honorowy, kapelan wojskowy, trumna nieheblowana ułożona na furze, a za nią zamykały kondukt znowu kobiety w mundurach. Kobiety - żołnierze oddały hołd Zmarłej, która była żołnierzem-męczennicą.

I jeszcze jeden grób na obczyźnie. Drewniany krzyż, tabliczka z imieniem i nazwiskiem Zmarłej. Wilgotna ziemia ciężko przytłoczyła serce pełne porywającej miłości, do ostatka gorące od pragnień i wierzące, że Polska, Polska, Polska!...

W Warszawie w rejestrze zaginionych umieściła czyjaś ręka: Maria Baranowska, lat 21, studentka. Na ulicy, któ-

rej wymienić nie wolno — matka szeptała: „Bądź wola Twoja...”, wierząc, że zaginiona może kiedyś powrócić.

Piszę te słowa w chwili, kiedy Warszawa padła poraz drugi. Zeszły z dobrze bronionego posterunku warszawskie współpracowniczki ś.p. Marii Baranowskiej, jej dom zawałił się w gruzy, jej ukochani rodzice... nie wiem — na tułaczce bezdomnej, czy też już razem z córką...

Ale my, w mundurach, my, które szłyśmy w kondukcje za trumną koleżanki bez munduru, Marii Baranowskiej — zapisujemy w swoim rejestrze nazwiska i fakty, aby nigdy nie zapomnieć, aby rachunek wyrównać. M. T.

## Wojenne szczęście

Kim jest pani o bladej zapadniętej twarzy, o wielkich czarnych oczach, zaczerwienionych od łez, która w willi króla tenerów, Benjamino Gigli, tłumaczy łamonym włoskim językiem, że chciałaby kupić kwiaty — dużo kwiatów?

Pytanie to dręczy czarna, jak węgiel i tłusta, jak wielkanocna baba, ochmistrzynię pałacu. Tłumaczy łagodnie, że w willi Benjamino Gigli kwiatów się nie sprzedaje. Kwiaty tu są po to, żeby swym zapachem i kolorem uprzyjemnić życie boskiemu tenorowi.

A pani o bladej, zapadniętej twarzy patrzy na nią z uporem. Musi dostać kwiaty! Musi! Nie po to, żeby uprzyjemnić komuś życie. Po to, żeby uczcić czyjąś śmierć.

Z wielkich, czarnych oczu pani wyciera straszliwy ból. Tłustą ochmistrzynię ogarnia niepokój. Czuje, że jest świadkiem tragedii, ale nie rozumie.

Dopiero towarzyszka pani wyjaśnia jej szepcąc... Ta pani straciła męża. Poległ przed paru dniami w bitwie o włoskie miasto, w pobliżu którego leży willa Benjamino Gigli. Ta pani przyjechała na grób.

Tłusta ochmistrzyni załamuje ręce. Oczy ma pełne łez. Biedna pani, taka młoda i ładna. Ależ naturalnie, proszę bardzo, kwiaty na grób, to co innego. A czy dawno po ślubie?

Nikt jej ciekawości nie zaspokaja. Tłusta ochmistrzyni ociera łzy i już o nic nie pyta.

Pani o bladej twarzy utonęła w kwiatkach. Jak najwięcej. Jak najpiękniejsze. Żeby jak najwspanialej upiększyć grób.

Z wielkich, czarnych oczu wyciera piekący ból: Miało być inaczej... Chciała mu upiększyć życie...

\* \* \*

Poznali się nie na sali balowej, nie w wieczorowych strojach i w atmosferze perfum. Poznali się w szmatach, w drewnianym baraku, kiedy po wyjściu z więzienia, po długich tułaczkach i poszukiwaniach, znaleźli wreszcie barak z polskim napisem, z polskim sztandarem.

Nie spostrzegli nawet, jak spłynęła na nich miłość. Czy była to pora odpowiednia na miłość? Miłość nie zna kalkulacji, ani logicznych przesłanek. Mi-

łość jest bezrozumna, przychodzi nie proszona, bez względu na pory, warunki i wymagania chwili. Spłynęła na nich, jak powódź, która zalewa serce i duszę. I, choć rozum szepce: „nie pora, nie pora”, fale miłości tłumią szepc rozu-

Czy dała im szczęście? O, tak! Szczęście było w chwilach radości po męce rozstania, w krótkich chwilach ulgi po straszliwym, chwytającym za gardło, lęku... Szczęście było w słowach „z n ó w r a z e m”, w cieniu których kryje się już niepokój: „na jak długo?” Bo to nie było szczęście z bajki lat dziecinnych. To było szczęście... wojenne.

\* \* \*

Wyjazd z Rosji. Razem czy oddzielnie? Dokąd? Czy się jeszcze zobaczymy? I radość: R a z e m !!

Pahlewi. Czarne oczy znów patrzą z lękiem w rozkołysaną powierzchnię Kaspijskiego Morza. Mężczyźni oddzielnie, kobiety oddzielnie. Serce bije, jak młotem: dokąd, dokąd, dokąd?

\* \* \*

Rehowot — Qastina. Lśniaca szosa — autostop i nowe słowo: „przepustka”. Słowo chropowate, szypiące, tak strasznie trudne w wymowie dla cudzoziemca, a w uszach zakochanych brzmiące, jak wiosenna pieśń skowronka.

A potem decyzja budowy wspólnego życia. W czarnych oczach znowu niepokój: zezwolenie... metryka... świadkowie... zwrot... nie formalnie... papiery... papiery... papiery... A nuż nie pozwolą?

I wreszcie ślub. Tym razem nie tylko czarne oczy są wilgotne. Wzruszeni są wszyscy. I ksiądz kapelan i goście weselni. Dobrze, pocziwe, przedwojenne wzruszenie: przecież to już na całe życie.

Pięknie grają organy.

— Słyszadeś? Jeden kławisz w organach nie odpowiadał... Czy to dobry znak, czy zły?

Potem ucza weselna, obiad w restauracji „Zuckera” nad morzem, za całą miesięczną gażę pana młodego. Ale cóż to znaczy! Taki dzień jest tylko jeden w życiu! Najpiękniejszy.

Ktoś z gości weselnych stłukł kieł-

szek. Dobry znak! Tłuczone szkło przynosi szczęście.

(Mój Boże! Tyle jest teraz tłuczonego szkła na świecie w rozwalonych domach, w zburzonych miastach — a szczęścia nie widać).

\* \* \*

Syria, Palestyna, Irak, Egipt, Europa...

Ciągły pościg za szczęściem, którego tak wiele mieści się w krótkim słowie „razem”. Ciągły lęk: żeby chociaż blisko, żeby chociaż morze nie rozdzieliło. I świadomość mocniejsza od lęku, że tak być musi, jak jest, że inaczej być nie może, że ponad wszystkim jest S P R A W A. Ważniejsza od miłości, od lęku, od szczęścia.

I listy:

„Uważaj na siebie. Mój drogi! Błagam cię!”

„Kochana! Kup sobie butki, koniecznie, żebyś nie przemoczyła nóg”.

Nagle — przerwa w listach. Straszliwe przecucie... I błyski nadziei: „A może tylko ranny?”

\* \* \*

Na włoskim cmentarzu krzyż z tabliczką: „Poległ na Polu Chwały”.

\* \* \*

Pani o bladej zapadniętej twarzy kleczy nad grobem. Układa na grobie kwiaty. W sercu nie ma buntu. Jest tylko krwawiąca rana, piekący ból, którego uśmierzyć nie jest w stanie jasna, przejasna świadomość: Tak być musiało

N. Sądek

## Odpowiedzi redakcji

K o l e ż a n k a N. N. — Artykuł Pani jest słuszną reakcją na to, co nas teraz najbardziej obchodzi. Redakcja „Ochotniczki” nie tylko podziela Pani poglądy, ale stara się dawać temu wyraz w miarę możliwości. Nie zawsze jednak te możliwości istnieją. Dlatego też artykuł Pani nie ukaże się w druku. — Natomiast prosimy o reportaże o tematyce rzeczowej, ukazującej naszą pracę w akcji, a nie, jak dotąd, w ujęciu refleksyjnym. Czytelnik z faktów reportażu powinien sam odnieść wrażenie, czy praca Pani oddziału jest wartościowa, trudna, skuteczna. Określenia te nie są potrzebne w artykule reportażowym. Otrzymujemy listy od czytelników, którzy z przekąsem piszą, że w naszych relacjach jest zbyt wiele samochwalstwa. Oczywiście, nie przyznajemy słuszności tym zarzutom, ale zgadzamy się z tymi korespondentami, którzy domagają się więcej rzeczowości w artykułach o pracy P. S. K.

K p r . B o l k o — Redakcja „Ochotniczki” dziękuje Panu serdecznie za kwiaty i uprzejme słowa uznania. Napewno utrzymamy naszą linię ideologiczną, która ma swoje znaczenie na dziś i na jutro. Kwiaty, które nam Pan przesał „jak dla swej ukochanej żony, która jest w Kraju z dziećmi”, zaniósłszy do jednego z kościołów, aby były wyrazem Pana serdecznej myśli o rodzinie i modłów za jej zdrowie i bezpieczeństwo.

# WIERSZE MARYLI WOLSKIEJ

Maryla Wolska, jedno z najświętniejszych imion literatury polskiej, urodziła się w r. 1877 we Lwowie. Była córką malarza Karola Młodnickiego i Wandy z domu Monné. Matka jej była narzeczoną Grottgera, sławną muzą „Wojny”, która cztery lata po śmierci narzeczonego poślubiła jego najserdeczniejszego przyjaciela i kolegę.

Maryla po wyjściu zamąż za inżyniera Waclawa Wolskiego, znanego naciarza i wynalazcę, człowieka szerokich horyzontów kultury i tradycji narodowej, wydała pierwsze tomiki poezji i stanęła odrazu w pierwszym szeregu współczesnej literatury pośród młodszych pisarzy „Młodej Polski”. Trzy te tomiki, „Symfonie Jesienne” (1902), „Thème Varié” (1902) i

„Święto Słońca” (1903), podpisała pseudonimem D - Mol.

Głębiej siega dramat wierszem osnuty na tle starosłowiańskich motywów, do których autorka miała upodobanie, p. t. „Swanta” (1909). — Najgłębsze, ciężkie treścią, dojrzałe utwory, zawiera ostatni tom, wydany blisko 20 lat później (1929) p. t. „Dzbanek Malin”. Forma w nich zawsze doskonała, choć nie tak już tryskająca młodością, schodzi czasem do przedziwnej prostoty opowiadania, jak n. p. w cyklu „O dawnym Lwowie”.

Maryla Wolska wydała też tom pięknych nowel p. t. „Dziewczęta” (1910), oraz doskonałe (w „Lamusie” i innych pismach drukowane) przekłady, często dokonywane wspólnie z młodszym

towarzyszem swoim na polu sztuki, późniejszym swoim zięciem Michałem Pawlikowskim. Używała też pseudonimów „Iwo Płomińczyk” oraz — zwłaszcza w artykułach polityczno-społecznych — „Tomasz Raróg”. Pod tym względem pióro miała zupełnie niekobiece, niesłychanie precyzyjne i cięte.

Była jeszcze w pełni sił i talentu, ale osłabione klęskami osobistymi i ciężką pracą sanitariuszki podczas poprzedniej wojny, serce nie wytrzymało. Umarła w roku 1930, jak pisały pisma lwowskie, poetka Lwowa, „ostatnia polska Sybilla”. Pozostawiła dwie córki: poetkę Beatę Obertyńską i malarzkę Anielę Pawlikowską i syna Kazimierza, obecnie oficera 3-ej Dywizji.

## W i e m

Wiem, że ich odzyskam oczyma,  
Wiem, że ich rozpoznam ustami,  
Że mi wyjdą naprzeciw ci sami,  
Ze nie są mgłą ani snami,  
Wiem...

## Stary sad

Jak wosk gromniczych świec  
Liść rudy kapie w sadzie,  
Po cichu spać się kładzie,  
Jak gdyby nigdy nic.

Jakby na stary sad,  
Na złote lip aleje,  
Ostatnie swe oleje  
Jesienny zachód kładł.

I duch by wziął zeń rad  
Ostatnie pocieszenie  
I chłonał te promienie,  
Jak stary, mrący sad...

I tak by opaść chciał,  
Po cichu, jako w sadzie  
Spalony liść się kładzie —  
Gdyby nie pohuk dział,

Gdyby nie armat huk  
I nie to wyglądanie  
Wszystkiego co się stanie —  
I duch by spocząć mógł...

## Pożegnanie

Na polach spokój wielki  
I szafirowa pogoda  
Pod lasem dokwita wrzos.  
Będzie niedługo zima!

Przeciąg świeży jak woda,  
Firanke w oknie wydyma,  
Na szybach pełno os;  
Pachną papierówki i muszkatelki,  
Pachnie suchymi grzybami...

Wrześniowe słońce plami  
Biel chłodnych pokoi,  
Po kątach się uśmiecha  
Na pożegnanie,  
A w dzbanie  
Wiednie gencyany wiecha.

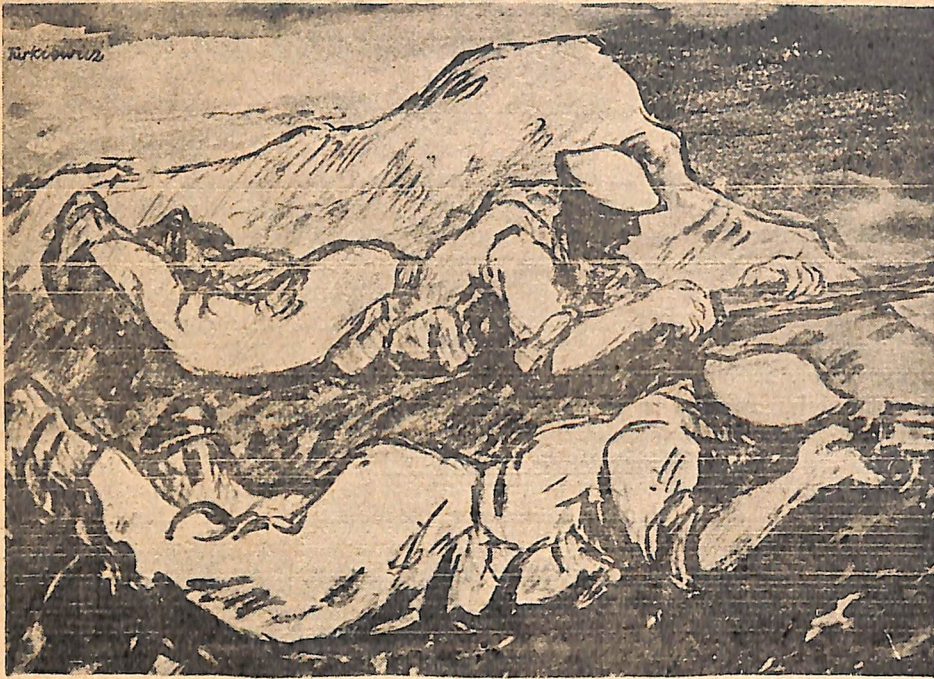
Będzie niedługo zima!  
A tam — za górami, lasami  
Czekają wszyscy moi,  
Wszyscy jedyni, ci sami,  
Których już nie ma...  
Na lasach szafirowa pogoda...

## K o r a

W białej ruinie umarłego domu, —  
Ugodzonego w serce domu, — siedzę  
I zda się wnikać w nieznaną nikomu  
W tę między śmiercią a żywotem międzę.  
Skrzypką świerszeczową wczesny zmierzch dygoce —  
Czy już mnie nie ma — czy wciąż jeszcze jestem?  
W zamarych ścianach tajne życia moce  
Nasion mnie sypkich urzekły szelestem.

Skrzypką świerszeczową mrok jesienny brząka,  
Podzwania suche na przetaku ziarno;  
Dokonań bliskość — witanie — rozłąka,  
Wszystko pod skibą przytąjone czarna,  
Wszystko mi w zwarciu uwiedłego strąka,

Trumna dla kwiatu, dla ziarna kołyska,  
Jawne — i oczom ukazane z bliska.  
Trwam, czym już wnika tam, skąd się nie wraca?!  
Czym w senniej pustce długiego wieczora,  
Jak do podziemi jeno zesza Kora,  
Dojrzałych nasion wywezasu strzegąca?  
Byle wystrzelił znowu pęd do słońca!  
I wszystko jedno — pszenicy czy ostu,  
Byle darzyła się odkwitu praca  
I dziw cudowny pełnił się po prostu,  
Jak kiedy ręka, wspak, powrotnym gestem  
Już przesypaną klepsydre obraca...  
Dlatego była — po cóż jeszcze jestem?!



Zygmunt Turkiewicz — „Widmie”

## OCZAMI ARTYSTY

Trudno bez wzruszenia, a nawet niepokoju brać do ręki publikację zatytułowaną „Montecassino”. — Wspomnienie o tym czynie żołnierza polskiego urosło bowiem w naszych sercach do wielkości tak potężnego obrazu, że trudno nam przypuścić, aby mógł on znaleźć pełne swe odzwierciedlenie w utworze sztuki. Upiorny urok krajobrazu i czystocowa ofiara uczestników bitwy spłotyły się tu w obraz prawdziwego piekła na ziemi — jak to świetnie podkreślił autor przedmowy do albumu Turkiewicza. To też tym większy musi być błysk natchnienia, aby odtworzyć zarówno całą grozę i potęgę tego historycznego czynu zbiorowego Polaków, jak i uwypuklić bez sztucznego patosu sens spełnionego tam przez żołnierzy obowiązku, jak w tym wypadku — nie w obronie własnej, ale dla zadośćuczynienia podstawowej konieczności politycznej.

W tych warunkach na tym bardziej szczególną uwagę zasługuje próba stworzenia plastycznego obrazu zdarzeń, któ-

re poprzedziły Montecassino i które rozegrały się tam, gdzie na miejscu ogrodu i klasztoru wyrastały już ruiny i ementarze. Podjął ją młody, ale dojrzały artystycznie malarz polski — Zygmunt Turkiewicz w świeżo wydanym przez Oddział Kultury i Prasy zbiorze rysunków. Podjął ją też i poparł swym epickim piórem również młody, ale w pełni swych sił twórczych pisarz polski i poeta Jan Bielatowicz.

Na album rysunków Zygmunta Turkiewicza, zatytułowany „Montecassino”, składa się cykl 82 reprodukcji, licząc z okładką i kartami tytułowymi, cykl otwarty portretem dowódcy 2 Polskiego Korpusu gen. Władysława Andersa. Autor rysunków nie poprzestał na tematach wziętych z samej akcji w Montecassino, lecz cofnął się do chwili przyjazdu oddziałów morzem z Egiptu do południowych Włoch, uwzględnił transporty zmotoryzowanych kolumn, pracę warsztatową, roboty saperskie, służbę pancerniaków, a nawet oglądany po drodze pejzaż, a dopiero potem przeszedł do tematów czysto frontowych, jak życie w schronach, obsługę plot, łączność, artylerię, żołnierza w akcji, walkę z minami, zastany obraz opactwa w ruinach, rannych i poległych. Mimo tej rozległej gamy tematów, które przewinęły się przed oczami idącego im naprzeciw artysty — od Port-Saidu do Piedimonte — rzecz trzeba jednak, że zdołał zaledwie musnąć właściwy temat, który zdaje się jeszcze wymykać plastycznemu ujęciu.

Próżno bez dość wymownego pióra silić się na oddanie w słowach tego, co składa się na ten nadludzki marsz naprzód przez skaliste stoki i poorany, krzaczasty grunt, przez ciemność nocy i zasłony gryzącego dymu, rozświetlane jedynie błyskami pocisków lub rac, przez jeszcze wczoraj spokojne doliny zasiane makami, a dziś pełne piekielnego huku, w rzadkich chwilach ciszy przerywanego klaskaniem słowików, wśród rosnącego zaduchu rozkładających się ciał i mdłe-

go zapachu ledwie zaskrzepłej krwi. Tego wysiłku wdzierania się wzwyż w pełnym obciążeniu sprzętem, amunicją, żywnością, rannym kolegą; tego przywierania do ziemi w kurezowym uścisku, tych zrywów wśród śmiertelnych seryj i eksplodujących pocisków.

Jakkolwiek długo byśmy ciągnęli to wyliczenie, nie zdołamy wyczerpać tu ani bogactwa akcji zbrojnej, ani jej treści wewnętrznej, zawartości uczuciowej i znaczenia ludzkiego, który wyrażony został w słowach dowódcy 2 Korpusu, że walcząc pod Montecassino, żołnierz polski bił się o Polskę. Nie mniej, przystępując do oglądania rysunków o Montecassino, z góry zdać sobie należy sprawę, że nie te wartości ściśle ideowe, czy też poetyckie w najgłębszym tego słowa znaczeniu mogły znaleźć wyraz w szkicach plastycznych.

Przekładając karty omawianej publikacji, uderza przede wszystkim widzący czytelnik duża staranność, smak i umiar zarówno w doborze środków technicznych: czcionki, papieru, farby, układu graficznego, dokonanego również przez Turkiewicza, aż do oprawy łącznie. Staranność ta przynosi zaszczyt włoskim zakładom graficznym „Novissima”, którym zlecono druk albumu. Dopiero potem, zastanawiając się bliżej nad doбором tematów i ich ujęciem rysunkowym, budzą się głębsze refleksje dotyczące wartości artystycznych. Rodzi się więc przede wszystkim refleksja, że przecież wszelkiego rodzaju obserwatorzy wojny nowoczesnej, jak dziennikarze, fotoreporterzy, czy filmowcy od dawna stwierdzają jej, powiedzmy krótko, nie-fotogeniczność, jej brak urody malarzkiej. A skrajni sceptycy mówią wręcz, że podczas akcji niczego nie widać, a przynajmniej niczego nie powinno być widać. Doskonałe krycie, kamuflaż, maskowanie odbierają resztki uroków plastycznych wojnie nowoczesnej. Nic zatem dziwnego, że w tych warunkach zadanie rysownika, lub fotoreportera sprowadza się wówczas do chwytania momentów z przed lub po akcji, z momentów możliwie bezpośrednio z nią związanych, lecz rozgrywających się przeważnie po za jej terenem. Przejszcie na podstawie wyjściową do natarcia odbywa się już bądź w ciemności, bądź wśród zadymienia, przy największym kryciu i maskowaniu się. Gdzież tu więc miejsce na jakieś matejkowskie panoramy batalistyczne, ze zgiełkiem bitewnym, splotami skurezonych ciał, krwawymi scenami rzezi, gdzież miejsce na sceny wojny okropnej i okrutnej, ale pełnej wyrazistej grozy, która daje pole do działania dla wyobraźni artysty, wrażliwego na ekspresję ruchową i kolorystyczną, gdzież tu miejsce na barwne i pełne rozmachu szarże kawaleryjskie...?

To też nie dziwne, że zamiast walki wręcz, w rysunkach Turkiewicza, jako nowoczesnego batalisty — chciałoby się powiedzieć „zmechanizowanego” — znajdujemy raczej wyobrażenie pracy wojskowej, jakże często złożonej z czynności czysto technicznych i przygotowawczych, tak oderwanych od ich istotnego sensu, jak dziś oddalona jest praca obsługi dział strzelającego z po za góry od bezpośrednich skutków wybuchającego pocisku, który miażdży wroga. Po-



Z. Turkiewicz — „Działo ciężk. art.”

ryw bohaterstwa osobistego luzuje więc naogół powaga pracy, na miejsce szerokiego gestu wojowniczego wchodzi zestrojony chwyt, spokojny, precyzyjny, skupiony. To główne i naczelné bodaj wrażenie, jakie wywołują z punktu widzenia swej treści tematycznej prace rysunkowe Turkiewicza.

Nie na tym zresztą polega ich istotna wartość i nie w tym się wyczerpuje ich charakterystyka artystyczna. Rysownicy w większości anglosaskich i nie tylko anglosaskich pism ilustrowanych, zręczni w produkowaniu scen batalistycznych na użytek cywilów, jakże często uciekają się do niezgodnych z rzeczywistością chwytów, polegających na nagromadzeniu efektów, na swego rodzaju, montażu, w którym na małym skrawku papieru potrafią skupić nieprawdopodobną ilość najprzeróżniejszego typu rodzajów broni u wojsk atakujących a nadto jeszcze całe linie obronne pozycji nieprzyjacielskich, przedstawiając całą walkę, jak gdyby toczyła się na dłoni. Wartość artystyczna tych rysunków jednak równa się przeważnie zeru. Film również — mówimy tu o dobrym filmie — nie może przy oddawaniu walki obywać się bez montażu, a nawet bez korzystania z perspektywy z lotu ptaka, na którą pozwalają zdjęcia lotnicze, aby osiągnąć efekty artystyczne. Najczęściej jednak bezpośrednia praca i t.zw. faktura artystyczna ustępują na plan ostatni wobec momentów bądź dokumentarnych, bądź też czysto propagandowych.

Zupełnie inaczej jest u Turkiewicza, co zresztą jest znamiennym rysem całej niemal dotychczasowej pracy artystycznej polskich artystów plastyków, żołnierzy 2 Polskiego Korpusu lub, mówiąc ogólnie, całej A.P.W. Nie goniąc za efektem literackim, za trickiem iluzjonistycznym, wszyscy szukają problemów czysto plastycznych, kolorystycznych czy graficznych, pozostawiając filmowi lub fotografii nawet tak ponętne zagadnienia, jak uchwycenie błyskawicznych momentów ruchowych, czy też akcentowanie fabuły wojskowej, gonitwę za dokumentarnością. Przy pomocy rozporządzonych lub stosownie dobranych środków technicznych, tworzą w swej sztuce nową, własną wyjątkowość otaczającego ich środowiska.

Tak też i Turkiewicz w tych pozornie jednolitych rysunkach posługuje się różnorodną techniką. Z punktu widzenia rysunkowego wyliczyć by można co najmniej trzy jej rodzaje: rysunki piórkiem, w rodzaju jednobarwnej akwareli, rysunki piórkiem i typ mieszany. Przeważają plansze utrzymane w silnych kontrastach światłocieniowych. Jeśli chodzi o charakter kreski, to jest ona naogół skromna, powściągliwa, niektórym wydać się może nawet toporna, często niemal techniczna czy geometryczna. Nic zatem dziwnego, że po za oddanym w wyrazie i geście momentem skupienia w pracy, pełnym statycznej powagi i spokoju, odnosić można wrażenie pewnej sztywności, czy nawet programowej nieporadności w traktowaniu przedmiotu.

Istotniejsze i może nawet dostępniejsze dla szerszego ogółu walory tych plansz występują wyraźniej dopiero w momentach kompozycyjnych, przeważ-

nie płaszczyznami, tym dobitniejszych, że artysta operuje naogół grą sylwetek: lufa, łuk muru, stok góry, masa ciała ludzkiego, albo przedmiotu — ciemna na jasnym tle, lub odwrotnie. Kto więc w tych rysunkach szuka przede wszystkim efektów linearnych, znajdzie je w takich kompozycjach, jak rysunek Nr. 35 „Łączność II”, o tak żywym i trafnym, mięsistym konturze. Walory kompozycyjne natomiast są niemal równomiernie rozmieszczone w całym cyklu.

Jakakolwiek może być osobista reakcja na indywidualne ujęcie artystyczne tematów w rysunkach Turkiewicza, jedno jest pewne, a mianowicie, że wszędzie przebija w nich prawda artystyczna, wyrzekająca się łatwego, ale nie istotnego efektu dla rzetelnej sztuki. I to, pomimo najbardziej niesprzyjających ku temu okoliczności technicznych, w jakich rysunki te powstawały — jak brak światła, ograniczony wybór tematu, niezwykłe zupełnie warunki jego dorywczego ujęcia. Rzetelność posunięta aż do unikania fikcji, trzymania się faktów u podstaw swej wizji artystycznej. Trudno nie uczestnikowi tych walk wyrokować o stopniu autentyczności tematyce tych rysunków, ani o wierności atmosfery, którą tchną. Wszystko wydaje się jednak przemawiać za tym, że rzetelność artystyczna ich twórcy nie dopuściła się świadomych zniekształceń. Więc za tym idzie pewność, że rysunki



Z. Turkiewicz — „Łączność II”

te są autentycznym wyrazem tego, jak artysta widział i potrafił najlepiej ująć Montecassino, jako tę epopeję 18-tu dni walk majowych w 1944 r. o kluczową pozycję w kampanii włoskiej — będąc jej naocznym świadkiem we wstępnych fazach i bezpośrednich refleksach.

Dobry przykład wstępu Bielatowicza na język angielski zawdzięcza wydawnictwo W. Skorupskiemu. Przyczyni się on niewątpliwie do uprzystępnienia i rozpowszechnienia albumu wśród sojuszników, pozwalając im tą drogą głębiej



Zygmunt Turkiewicz -- „Polski chwyt saperski”

wniknąć we wkład 2 Polskiego Korpusu do wspólnych działań wojennych. Z drobnych niedociągnięć wydawnictwa wymienić by można chyba tylko brak podtytułu w języku polskim na okładce, obok tekstu angielskiego pod ilustracją; utrudnione nieco identyfikowanie poszczególnych plansz z powodu braku pod nimi podpisów, co jednak zmusza do tym

bardziej bezinteresownej kontemplacji formy artystycznej rysunków, wreszcie drobne niedociągnięcia korektorskie we wstępie. Może też udałoby się i w tym zakresie wydawnictwa osiągnąć jego większą kompletność, większe wyczerpanie tematu przez zastąpienie kilku powtórzonych tematów scenami z prac jeszcze innych służb, z dojsć na podstawy wyjściowe, ze stanowisk, czy

punktów obserwacyjnych i z dziedziny rozkazodawstwa przez radio.

Taka, jaka jest, publikacja rysunków Turkiewicza, jest szlachetną, bodaj wyjątkową pozycją w dziele utrwalenia pamięci o zasługach żołnierza polskiego w jednym z najsławniejszych okresów jego walki z naszym pierwszym i wspólnym ze sojusznikami wrogiem, jakimi są Niemcy. On

## „Centrala – wstęp wzbroniony”

Kiedy po przez liczne centrale, po przez tenorowe i basowe głosy telefonistów łączycie się z odległym Szpitalem lub Polowym Ośrodkiem Zaopatrywania — usłyszycie miękki kobiecy sopran: „Tu Centrala...” Głos ten jest tak odmienny, że wydaje się wam głosem dziecka.

Króciutki okres przyjemnego zdziwienia, przelotna chęć nawiązania rozmowy na tematy nie z wojną nie mające wspólnego i już z powrotem wpadacie w wir pracy służbowej i sypiecie terminami technicznymi meldunków czy rozkazów. Każda Centrala Telefoniczna jest „korkiem”, blokującym szybkość zestawienia połączeń. Jest jednak ona złem koniecznym, gdyż w inny sposób nie da się tego zagadnienia technicznie rozwiązać.

Irytujecie się na Centralę, gdy nie zgłasza się szybko, wdzięczni jej jesteście gdy błyskawicznie dostarczy wam żadanego abonenta, ale czy zastanowiliście się kiedy, w jak sposób Centrali i swoim kolegom dopomóc?

Pozwólcie więc, że omijając surowe zakazy przełożonych, zaprowadzę was do pokoju, strzeżonego groźną klauzulą: „Centrala — wstęp wzbroniony”. Otwieram drzwi.

Oto łącznica. Na pozór jest to dziwna, czarna szafa z masą kłapek wywoławczych i rozłączeniowych, z płataniną sznurów. Ale to tylko na pozór bezduszny sprzęt. W rzeczywistości jest to organizm żywy i bardzo skomplikowany. Czterdzieści kłapek — to czterdziestu abonentów o różnych charakterach i usposobieniach. Są klapki, których się boimy, są inne, które lubimy, są wreszcie — a tych zawsze jest większość — klapki nieznane.

Zanim poznamy ich przyzwyczajenia, już zmieniają właściciela i studium psychologiczne musimy rozpocząć na nowo.

Trzy pierwsze klapki to centrala Korpusu. Telefoniści w niej są zawsze bardzo służbiści i wymagający, ale poza nimi kryją się panowie starsi, poważni i ojcowsko wyrozumiali. Panowie ze Sztabu.

Trzy klapki następne, to Anglicy. Anglik był i jest zawsze dla nas synonimem dżentelmena. Może dlatego także, że cierpliwie słucha naszej polskiej angielszczyzny i tak powoli, zrozumiale stara się wytłumaczyć, o co mu chodzi.

Dziesięć kłapek następnych, to abonentów lokalni. Znamy ich od dawna na wylot. Klapka Nr. 7 jest zawsze bardzo uprzejma. Marysia uśmiecha się

sama do siebie gdy ją obsługuje. Klapka Nr. 9 ma skłonności do „lekkiej” przesady, minutę czekania nazywa godziną. Klapki Nr. 10, 14 i 18 zdradzają wybitną skłonność do flirtu, klapki Nr. 11, 12, 17 to flegmatycy, mili spokojni ludzie. Wreszcie klapka N. 13 to, (ochotniczki — baczność na prawo patrz!) Inspektorat Główny P.S.K.

Dalsze klapki to Dywizje. Ludzie stojący blisko pola walki, ludzie nam bliżej nie znani. W naszej wyobraźni to ludzie groźni, wydający rozkazy brzemienne skutkami, rozkazy niosące gromy na głowę wroga.

Przypatrzcie się teraz pracy dyżurnej telefonistki, oto właśnie panna Marysia, dziewczę lat 21 (według metryki) odbiera służbę.

Patrzcie jaką ma trema. Zupełnie jak młody aktor debiutujący na scenie. Nie dziwcie się, ciąży na niej duża odpowiedzialność podczas tych 12 godzin nocnego dyżuru, odpowiedzialność wartownika na posterunku. Tym więcej, że podsłuch telefoniczny czuwa i nieubłagane notuje wszelkie niezgodności z regulaminem.

Włączam głośnik, specjalnie dla was mili nasi goście, skonstruowany. Będziecie słyszeli w nim nie tylko rozmowy abonentów z telefonistką, ale i jej własne myśli. Uwaga! Słuchajcie jak ze skupieniem powtarza sobie pouczenia przełożonego: „Wszystkich abonentów należy obsługiwać jednakowo sprawnie, uprzejmie i regulaminowo. Telefonistce nie wolno mieć nerwów. Czynności swoje winna spełniać jak automat wyposażony w inteligencję człowieka. I — podkreślam — żadnych odstępstw od regulaminu”.

Spada klapka: „Proszę majora Żelazińskiego”. — Telefonistka z błyskawiczną szybkością przebiega wszystkie znane jej, a podobne nazwiska: Zaleski, Zalewski, Żelaski, Zawadziński, ale Żelaziński? Może przysiąc, że tego nazwiska nie słyszała. I co gorsze, regulamin takiego wypadku nie przewiduje! — „Proszę o podanie nazwy Szefostwa i Biura” — odzywa się, pełna niepewności, czy postępuje właściwie. Kątem oka notuje przy tym, że nowa klapka spadła. — „Powtarzam, major Żelaziński, gdzieś w waszym Sztabie, dwa dni temu przeniesiony z X-ej Dywizji” — denerwuje się lekko abonent. — „Łączę z Adjutanturą”. — Telefonistka spławia w ten sposób abonenta, nie widząc innej możliwości wybrnięcia z trudnej sytuacji.

Do czekającej klapki dołącza się nowa. O Boże! to ta „nerwowa”. Re-

gulamin nakazuje jednak obsługiwać bonentów w kolejności wołania.

— „Proszę Szefostwo Służby Zdrowia”.

— „Szefostwo Służby Zdrowia — łączę”.

Zamówienie regulaminowe, telefonistka szybko zestawiała połączenie i z lekką tremą przechodzi do klapki „nerwowej”.

— „Proszę pani, już pół godziny czekam, proszę bardzo pilnie o Karpacką Dywizję”. — „Dywizja — łączę”. — Telefonistka jest rada, że tak gładko jej tym razem uszło.

Nowa Klapka: — „Czy można wiedzieć, kto ma dzisiaj służbę!” — „O mój panie — myśli telefonistka — dostałabym trzy dni co najmniej, gdybym zdradziła tę tajemnicę. Mimo więc, że należy być zawsze uprzejmym dla abonenta, telefonistka odzywa się sucho: — „Proszę, z kim pan chce połączenia?” — „Czy pani zawsze musi takim urzędowym tonem, czy nie można z panią poplirtować, mam tu przed sobą stos książek, ale to nie zastąpi rozmowy z tak zachwycającą osobką jak pani” — wysiła się abonent do telefonistki, już go zresztą nie słuchającej i zajętej następnym abonentem.

— „Proszę Szpital Nr. X”. — „Szpital Nr. X — łączę”.

— „Proszę Dowództwo Żandarmerii”. — „Dowództwo Żandarmerii — łączę”.

— „Proszę aparat stacyjny”. — „Aparat stacyjny — łączę”. — Równo, jak na mustrze, padają zamówienia i zestawienia połączeń. Panna Marysia oddycha z ulgą.

Nowa klapka: — „Jeśli pani taka uprzejma, to proszę o Adjutanturę” — pada zamówienie. — „Adjutantura zajęta” — odpowiada telefonistka i przypomina sobie Żelazińskiego. Widocznie go jeszcze szukają. Ale oto klapka rozłączeniowa Adjutantury. — „Czy mówi się?” — „Właśnie chcę mówić, łaskawa pani. Otóż major Żelaziński jest w Kwartmistrzostwie, więc proszę mnie połączyć”. — „Łączę”.

Chwila przerwy. Marysia zmęczonym okiem (lampka tak słabo świeci) przebiega z zadowoleniem po kłapkach. Najgorsza jest pierwsza godzina służby.

Ale oto, jak na zamówienie, spada od razu pięć kłapek. Zupełnie jakby się abonentów zmówili. Co w takich wypadkach nakazuje regulamin? Marysia nie znajduje odpowiedzi, chwyta na chybił- trafił klapkę skrajną, angielską. — „Tu Centrala...” O, przepraszam, Polish Exchange — Here” — jaka zgłoszenie prawdziwą nadwiślańską angielszczyz-

na i słyszy z rozpaczą potok nie zrozumiałych słów. — „Polska Korpus — please”. — Marysia stara się jakoś skleić odpowiedź. — „Polska Korpus — please” — To już rozumie i z ulgą przełącza abonenta na centralę Korpusu. Niech się oni teraz męczą.

Druga klapka, spośród tych czekających: — „No! Nareszcie, myślałem, że pani usnęła, ale zaraz... Co to ja chciałem, zaraz..., zaraz, niech pani chwileczkę zaczeka... Zaraz sobie przypomnę”. Marysia z rozpaczą czeka i patrzy na pozostałe trzy klapki, zdradzające ponownym wywołaniem wysoki stopień zdenerwowania. Wreszcie rzuca „zapominalskiego” i przechodzi do obsługi innych kłapek. Wymówki ze strony tych abonentów mają już treść jednakową: — „Co to się dzisiaj dzieje na Centrali, doczekać się nie można, dzwonię i dzwonię!”

Biedna Marysia bliska jest płaczu, cóż ona temu winna, że ma tylko dwoje rąk, a tyle czasu trzeba tracić na wysłuchanie zamówienia.

Nowa klapka: — „Dobry wieczór, panno „Stasiu”, czy będzie pani jutro na plaży?”

— „Nie będę i nie mam czasu na flirty” — odpowiada Marysia, zupełnie już wyprowadzona z równowagi i przerażona przestępstwem regulaminu. Murowany koszarziak, a Marian ma przyjechać.

Ale oto patrzcie, na zegarze już godzina 02.00. Ruch Centrali zamarł. Abonenci śpią. Tylko od czasu do czasu podoficerowie służbowi z różnych urzędów i oddziałów zapytują sennym głosem o godzinę. W takiej chwili Jasia, fulerfonistka, po załatwieniu wszystkich telegramów, przychodzi do Marysi na Centralę, aby jej skrócić noce nudy. Właściwie mogłaby iść spać (na ławce), ale dobre dziewczę chce koleżance pomóc.

Zawijają się pogawędka. Jeśli myślicie, że rozmawiają o mężczyznach, to głęboko się rozczarujecie. Tego rodzaju rozmowy już dawno im się znudziły. Rozmawiają o zmartwieniach służbowych.

— „No, jakże ci poszło, Marysiu? Wyglądasz zmęczona”.

— „To głupstwo, to nie ma znaczenia”.

— „Nam fulerfonistkom jest może lepiej, choć już po dwóch godzinach pracy głowę mam przepiętą po brzegi piskliwym tonem sygnałów i moje własne myśli zaczynają układać się w formy kropek i kresek systemu Morse'a. Ale wasza praca jest jednak więcej wyczerpująca”.

— „Wiesz, Jasienko, zagadnienie trudności naszej pracy wcale nie leży w na-



Przy aparacie

sileniu ruchu, zdążyłabym obsłużyć dwukrotnie większą ilość abonentów, gdybym nie była zmuszona tracić tak wiele czasu na wysłuchiwanie długich zamówień, zupełnie nie potrzebnie okraszonych grzecznościami lub — jeszcze gorzej — duserami...

— „Tak, fulerfonisci są w lepszym położeniu, nikt wprawdzie nie mówi im o słodkim głosiku, ani „całuje rączki”, ale łatwiej im za to wywiązać się z zadania, a to jest przecież najważniejsze”.

— „Myślę, że najczęściej w pobudkach naszych abonentów nie ma nic złego, jest to zazwyczaj tylko uprzejmość w stosunku do kobiety, znacznie rzadziej jest to próba nawiązania znajomości i flirtu, ale to wszystko, bez względu na formę i intencję, odbija się szkodliwie na służbie. Opóźnia zestawienie połączeń. Abonenci czekają, tracą czas i nerwy. Składają winę na obsługę Centrali, podczas gdy właściwym winowajcą jest ich kolega z innego biura. Niszczy nerwy telefonistki, obniżając jej sprawność w obsłudze łącznicy.

— Mówisz jak profesor, Marysiu, uważaj, bo gotowi cię wziąć jeszcze na instruktora. W zupełności zgadzam się z twoimi poglądami. Wasze położenie jest trudne i nie możesz wybrnąć z sytuacji w ten sposób, jak to zrobiła moja znajoma jeszcze przed wojną. Mając służbę w Centrali D.O.K.V., usłyszała w telefonie gorące oświadczenie pewnego pana: „Kocham panią, mało powiedzied kocham, ja cały palę się!”.

— Co, pali się pan? Łączę ze strażą pożarną” — i zaalarmowała straż pożarną: „— Ten pan się pali, niech panowie go ugaszają!”

\* \* \*

Mili Goście, nie przeszkadzajmy już Marysi, wyjdźmy z pokoju cicho, na palcach i zamknijmy drzwi, opatrzone groźnym napisem: — „Centrala — wstęp wzbroniony”.

A teraz jedno pytanie:

Czy wiecie już, dlaczego telefonistka często nie może nadać z zestawieniem połączeń?

Anna Sztymborska

## Radiotelegrafistka

Wiosenne oczy, wiosenny zapach  
ujął za ręce wiosenną dołą.  
Buziak dziewczęcy za serce złapał  
i wyprowadził żołnierza w pole...

Sztubacki płomyk nie wygasł dotąd,  
jak u podlotka gimnazjalistki.  
Choć Morse się wmieszał w kłębiący potok  
— pracuje radiotelegrafistka.

Żołnierzu biedny, nie słuchaj radia,  
bo cię uwiedzie sygnał niewieści;  
złapiesz depeşe, to wtedy zgaduj,  
czy to sygnały, czy tempo dwieście...

Aż się zapłaczesz w zdradliwej sieci  
Marysi radiotelegrafistki —  
— masz miękkie serce, — z wiatrem polecisz,  
przepadnie serce, — przepadnie wszystko.

— Marysia stuka, szyfruje, brzęczy,  
zapominając o rzeczach wszystkich;  
język ślini, — buziak się męczy —  
... Zawzięta radiotelegrafistka.

Józef Żywina

**KOLEŻANKI,  
czytajcie  
i rozpowszechniajcie  
Wasze pismo:  
„Ochotniczka“**



## PIĘKNA DZIAŁALNOŚĆ „WAR RELIEF SERVICES“

Ochotniczki zwiedzające Rzym — partiami po kilkadziesiąt, albo w mniejszych grupach i indywidualnie — zajeżdżają na ulicę Boncompagni 18. Jest to stary rzymski pałacyk, z którego powiewają dziś sztandary: polski, amerykański, a między nimi sztandar o barwach papieskich. Szeroka brama jest zawsze gościnnie otwarta dla tych, które noszą „mundury khaki” i berety z orzełkiem, dla ich gości, a nawet dla ich... maszyn. Wewnątrz czeka na przyjezdnych dom, polski dom, przysłowiowa polska gościnność a nawet autentyczny kominek, na którym trzaska wesoło ogień w jesienne, deszczowe wieczory.

Mowa tu o Domu Wypoczynkowym dla ochotniczek i sióstr P.C.K., ufundowanym i prowadzonym przez WAR RELIEF SERVICES — NATIONAL CATHOLIC WELFARE CONFERENCE (Służba Pomocy Katolickiej Polakom). Warto się zapoznać z tą organizacją, która już tyle dobrego zrobiła dla żoł-

nierzy i uchodźców polskich. Została ona zawiązana w Ameryce pod kierownictwem amerykańskiego episkopatu katolickiego i ma na celu niesienie pomocy w czasie wojny oraz w okresie powojennym krajom dotkniętym światową katastrofą. Eksc. Biskup Polowy Józef Gawlina z ks. Prałatem Reginkiem udali się z początkiem r. 1948 do Ameryki, gdzie przedstawili obecną sytuację Polaków i ich potrzeby. Na skutek tego z organizacji tej wyłoniła się sekcja polska.

Ks. Alojzy Wycisło i asystent jego dr. Max Brzeziński, którzy przybyli na Srodkowy Wschód, by zorganizować i kierować akcją sekcji polskiej, zabrali się do dzieła z gorliwością i z entuzjazmem. Obaj Delegaci to Polacy, którzy nigdy Polski nie widzieli. Tym bardziej wzrusza ich miłość dla dalekiej i nieznanej Ojczyzny, dla rodaków, których los tak ciężko dotknął.

Ks. Wycisło jest już od dawna znany wśród Polonii. Założył szereg instytucji charytatywnych w Chicago i wszędzie wykazał swoje wybitne zdolności organizatorskie. Niejednokrotnie pojawiały się w piśmie relacje o społecznej akcji ks. Wycisła, prowadzonej systematycznie w polskich ośrodkach uchodźczych w Afryce, na Śr. Wschodzie, i w Meksyku. Działalność ks. Wycisła obejmuje także żołnierzy naszej Armii. Więc paczki-dary, więc płyty gramofonowe, radia, sprzęt świetlicowy. A dla ochotniczek — właśnie Domy Wypoczynkowe, z których jeden mieści się w Rzymie.

Dom ten jest już dobrze znany ochotniczkom. Od dnia powstania 8-go lipca b.r. gościł Dom na Boncompagni 450 ochotniczek i wydał ponadto 500 posiłków gościnnych. Dom dysponuje również piękną willą przy ul. B. Eustachio, przeznaczoną dla ochotniczek przyjeżdżających do Rzymu na dłuższy odpoczynek. Doskonała opieka zarządu Domu sprawia, że zarówno kilkudniowy pobyt, jak i kilkutygodniowy urlop zostawiają najmiłsze wspomnienia. Inspektorka

Główna P.S.K. Bronisława Wysłouchowa, po kilkudniowym pobycie w Domu na Boncompagni, odniosła jak najlepsze wrażenie. „Cieszę się — powiedziała kierownicze Domu p. Barbarze Bałaszeskul — że ochotniczki mogą tu naprawdę wypocząć i że choć na krótko mają złudzenie, że nie są bezdomne”.

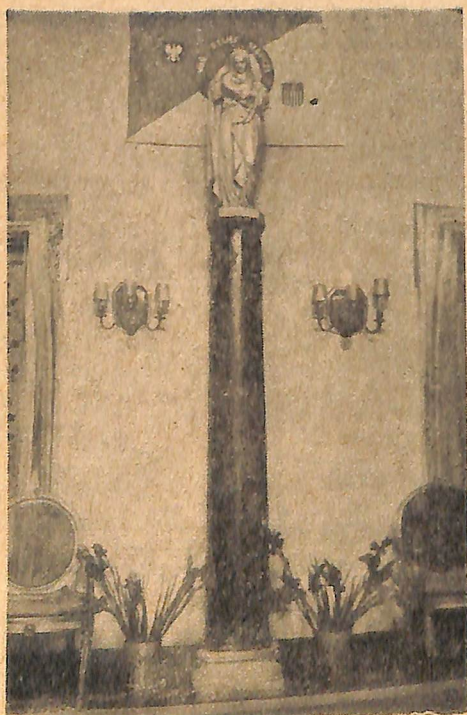
W najbliższym czasie będzie uruchomiony jeszcze jeden Dom Wypoczynkowy w innej miejscowości Włoch. W Egipcie w Heliopolis powstał piękny Dom Wypoczynkowy dla ochotniczek 3. Korpusu. Można też już zdradzić tajemnicę, że organizacja sprowadza z Ameryki kantyny polowe najbardziej nowoczesnie urządzone — do pracy na froncie.

W okresie powojennym WAR RELIEF SERVICES przyjdzie natychmiast z pomocą ludności polskiej w Kraju. Do pracy tej Instytucja przyspasabia już w Ameryce specjalnie szkolony zespół, który uda się do Polski. Idea i praca tej katolickiej i narodowej Instytucji jest łącznikiem przyjaźni i serdecznych uczuć między dwoma kontynentami.

I. F.

### Wystawa obrazów naszych artystów-malarzy-żołnierzy

W dniu 25. XI, b. r. odbędzie się w Rzymie, w salach „Circolo Artistico”, Margutta 54, otwarcie Wystawy malarzkiej, zorganizowanej przez Oddział Kultury i Prasy 2 Korpusu. Udział biorą: Józef Jarema, Zygmunt Turkiewicz, Edward Matuszczak, Stanisław Westfalewicz, Henryk Siedlanowski, Marian Kosciałkowski i inni. Wśród eksponatów — rysunki s. p. Burdyły, który poległ w bitwie pod Cassino. — Wystawa potrwa do 10. grudnia b. r. Otwarta jest codziennie od godziny 10-12 i 15-17.



# W cieniu walczących żołnierzy

Kiedy rzucimy okiem wstecz na dzieje naszej służby transportowej, nie długiej wprawdzie, lecz barwnej, urozmaiconej i wypełnionej pracą po brzegi — różnić możemy dwa okresy: 1) pracę na obszarze bazowym, na dalekich tyłach, zdala od teatru działań wojennych, i 2) pracę w bezpośrednim sąsiedztwie frontu, jeśli można się tak wyrazić — w cieniu walczących żołnierzy.

Pierwszy ten okres symbolizują najlepiej dla nas, kierowczyń, nazwy: Bet-Nabala i Tel-El-Kebir; drugi zawiera się w jednym słowie: — Ortona.

\* \* \*

Bet-Nabala i Tel-El-Kebir — egzotyczne nazwy, minione wspomnienia, budzące w naszych sercach nieprzyjemne uczucia. Bet-Nabala i Tel-El-Kebir — to nazwy dwóch obozów na dalekich, dalekich tyłach. Pracowałyśmy tam całymi tygodniami od rana do wieczora, wśród obcych, różnorodnych ludzi, wśród hałaśliwej, dzikiej, brudnej, jakże nędznej gromady robotników arabskich i ich dozorców.

Bet-Nabala i Tel-El-Kebir — to wstawanie o czwartej rano, wtedy gdy niebo iskrzy się jeszcze wszystkimi gwiazdami swego wschodniego przepychu, ale nie dla nas, śpieszących się, aby zdążyć na oznaczoną porę do oddalonych o całe kilometry — obozów.

Bet-Nabala i Tel-El-Kebir — to żar, upał, rozpalone kabinki wozów i monotonna, nużąca swą jednostajnością praca: ładowanie wozów na jednym krańcu wielkiego obozu i rozładowywanie — na drugim. Tam i z powrotem, tam i z powrotem. Sześć, siedem, osiem razy w ciągu dnia.

Nie czułyśmy się dobrze podczas tej pracy. Trudno było naszej ochotniczej kompanii wytłumaczyć sobie, że monotonna, wahałowa praca — stanowi ogniwo wielkiego łańcucha maszyny wojennej.

\* \* \*

Właśnie wtedy, gdy nasz sen o „romantyzmie kierownicy” zdawał się być pogrzebany (kobiety są, niestety, skłonne do przesady) — nastąpiła zasadnicza zmiana. Uczestniczyłyśmy bowiem w przetrucaniu naszej Armii na teren Włoch.

O 11-ej, 12-ej, czasem o 1-ej w nocy wyruszała olbrzymia kolumna naszych wozów (dochodząca nawet do 70-ciu maszyn), aby przewieźć tę czy inną jednostkę na stację kolejową.

Byłyśmy często świadkami ostatniej zbiórki żołnierzy, ostatnich instrukcji Dowódcy („Zeby mi była idealna cisza na stacji”, „Nie schodzić z wozu bez rozkazu”), ostatniej modlitwy na starym m.p. — i cenny, najcenniejszy ładunek zapelniał nasze wozy.

Zapaliwszy motory, wolno, ostrożnie ruszałyśmy na przód. Kolumna w rozwiniętym szyku posuwała się w kierunku stacji. Było coś dziwnie groźnego i pięknego zarazem w tych milczących szeregach żołnierzy jadących na front.



W dniu 11 listopada, w kościele św. Andrzeja w Rzymie, odprawił nabożeństwo J. E. ks. Arcyb. Cortesi, nuncjusz przy Rządzie Polskim. Na nabożeństwie obecni byli p. Ambasador Papée, Z-ca D-cy 2 Korpusu gen. Bohusz-Szyszko oraz przedstawiciele placówek polskich w Rzymie.

Po nabożeństwie oficerowie, żołnierze i ochotniczki garnizonu w Rzymie udali się przed pomnik Marsz. Józefa Piłsudskiego celem uczczenia Wskrzesiciela Polski.

Na zdjęciu generał Bohusz-Szyszko i ambasador Papée wśród ochotniczek.

Byłyśmy czujne i skupione przy kierownicy i nie po żołniersku, a po prostu — po babsku wzruszone.

Czerwone słońce wstawało z za pustynnych wydm, gdy gasiłyśmy motor w naszym obozie.

\* \* \*

Ortona. „Czekamy na waszą kompanię tutaj z największą niecierpliwością. Jesteście tutaj ogromnie potrzebne” — przywitał naszą czołówkę kwatermistrzowską ppłk. K., D-ca Sł. Zaop. i Transp. 2 Korpusu. Zaskoczone tym przywitaniem, podniosłyśmy kurzem upudrowane głowy. Więc 2 Korpus na nas liczy!

Drugi Korpus nie zawiedzie się na nas.

Kiedy w tydzień później nasi koledzy z bratniej męskiej transportówki zaczęli nam opowiadać, jak wielką ulgą w pracy jest dla nich nasz przyjazd, jak bardzo odczuli naszą pomoc, ile godzin spokojnego snu w nocy mają nam do zawdzięczenia — było to nie tylko wielką radością dla nas, ale i bodźcem do pracy. A praca rozpoczęła się na prawdę nie byle jaką.

Zostałyśmy nagle wmięszane w krąg spraw najważniejszych najpilniejszych, bezpośrednio związanych z żołnierzem, z jego walką i losem.

Rytm naszej pracy odpowiadał rytmowi ciągle na przód idącego frontu. Im szybsze było tempo ofensywy, im głośniej grała artyleria — tym szybciej obracały się koła naszych wozów, tym więcej ton amunicji, benzyny, smarów, zaopatrzenia przewożyłyśmy na naszych wozach; tym dłużej pracowały nasze motory.

Ładowałyśmy barki ciemną nocą, rozładowywałyśmy pociągi w pyłe i skwarze dnia. Zbyt wielka stawka wchodziła w grę.

Nie wiedziałyśmy, ile przewożyłyśmy zaopatrzenia, ile benzyny, ile amunicji, nie bawiliśmy się w statystykę, w żmudne wyliczenia. Jedyłą miarą naszej pracy była potrzeba Korpusu, jedyną wagą — powaga zadania.

Ostatnia, decydująca faza bitwy o Anconę — porwała nas wszystkie. W podnieceniu czekałyśmy na wzięcie miasta. Wolne od zajęć chwile spędzałyśmy przy głośniku, czekając na upragnioną wiadomość. Gdy wreszcie przyszła sprawdzona i zupełnie pewna wieść, że Ancona jest nasza, kompania huczała od okrzyków radości i dumy z naszych żołnierzy.

Chociaż nasz udział w tym zwycięstwie jest bardzo mały, (bo i mała w porównaniu z Korpusem jest nasza kompania), wolno nam przyznać się do tego, że Kompania Transportowa P.S.K. dołożyła małą cegiełkę swej pracy do wielkiego, zwycięskiego wysiłku Żołnierza.

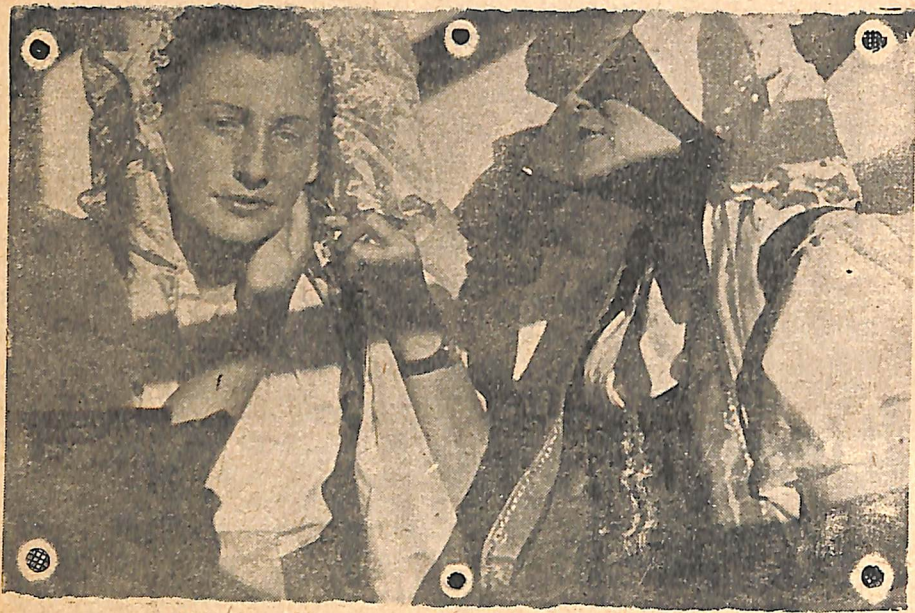
Sworzeń

## KRONIKA

### Ochotniczki P.S.K. z Francji

Donoszą nam, że w najbliższym czasie z Francji uda się 18 kandydatek do Służby Sanitarnej w szeregach P.S.K. do W. Brytanii. Wszystkie kandydatki rekrutują się z kolonii polskiej w Paryżu i zgłosiły się na skutek apelu wystosowanego do Polonii przez władze polskie. Przejdą one kurs sanitarny: 3 tygodnie teorii, 3 tygodnie praktyki w szpitalach paryskich. Całość nauki będzie przeprowadzona w Szkole Sanitarnej w Paryżu, która została w tym celu specjalnie utworzona.

(d. c. „Kroniki” na str. 28)



„Wesele Śląskie“ Ligonia. J. Domańska i Z. Kwiatkowska

## ZA KULISAMI

Jest sztuka Norwida pod takim właśnie tytułem. Rzecz dzieje się za kulisami sal Redutowych w Warszawie. Tych sal, w których Osterwa i Schiller zapoczątkowali nowy okres dziejów teatru polskiego; w tych salach mieścił się Państwowy Instytut Sztuki Teatralnej, t.zw. PIST. Ma to tyle wspólnego z niniejszą impresją, że nasze wojskowe teatry również eksperymentują, szukają możliwości rozwoju w tych niezwykłych warunkach, w bezpośrednim zetknięciu się z wojną, z „trudną” widownią i bardzo niedobrymi możliwościami twórczej pracy. Dla wielu młodych artystów, są te teatry jednocześnie szkołą dramatyczną, w której w przyspieszonym tempie, zdobywa się wiedzę aktorską i doświadczenie.

Do rzeczy. Jak się państwu podoba następujący obrazek? „...Po zawadżaku zajeżdża przed piękny gmach teatru luksusowy autobus. Wyskakuje z niego kilka roześmianych pań w mundurach P.S.K. Wyskakują wprost w ramiona młodych i starych poruczników, starych i młodych majorów, którzy na rękach wnoszą te panie wprost do wytwornie

urządzonych garderób teatralnych. Pół godziny cudownego mizdrzenia się przed weneckimi lustrami... Fryzjer! Garderobiane! Gdzie dywan pod nogi? Moje pantofelki nie błyszczą!... Potem, gdy panie - artystki są już pięknie ubrane i wymalowane, rozlegają się urzekające dźwięki orkiestry i w radosnym podnieceniu artystki wbiegają na scenę, ażeby najpiękniejszymi uśmiechami dziękować za burzę oklasków na przywitaniu, drugą burzę na pożegnanie i parę burz w srodo wykonania tańca, piosenki lub roli w sztuce dramatycznej. Po przedstawieniu, kolejka po autografy, przyjmowanie kwiatów i listów... Następnie podchorążowie tworzą szpaler i artystki idą na wspaniałą ucztę do kasyna. W bajecznym nastroju upływają godziny, okraszane piosenkami i recytacjami, które każda chętnie śpiewa lub mówi, ażeby uświetnić... ażeby zaszczyścić... W bardzo zwartych szeregach gospodarze odprowadzają panie do autobusu. Jeszcze jedno pożegnanie, jeszcze niejedno westchnienie i lux-torpeda rusza, miazdząc kwiaty rzucane pod koła. Panie - artystki wracają do wykwintnych apar-

tamentów, ażeby słodko spać do następnego południa”...

W ten, mniej więcej, sposób, wyobrażają sobie życie artystek-ochotniczek P.S.K. wszyscy ci, dla których sztuka — to kolorowy film made in U.S.A., a prawda — to moskiewskie gadanie.

Zduśmy bezlitośnie słowiki i przyjrzyjmy się temu życiu bez oświetlenia księżycowego:

— Próba o godz. 9.30. Wyjazd zespołu do... o godz. 14.30. Początek przedstawienia o godz. 19-ej. Kolacja, po przedstawieniu, w oddziale — głosi paperek wiszący na ścianie. ... „Słuchaj! Jest już 9.25, chodźmy prędzej, bo ten wściekły reżyser zrobi taką awanturę, że odechce się wszystkiego”... „Ależ, wczoraj wróciliśmy po 12-ej w nocy... wody nie było, chciało mi się pić... szukałam w ciemnościach, gotowałam herbatę... jak ja mogę zdażyć?”

Taki dialog toczy się między dwiema ochotniczkami P.S.K., należącymi do zespołu jednego z teatrów wojskowych. Rozpoczyna się próba. Nie sposób określić w paru słowach, czym jest próba w zespołach zawodowych. Po krótkie wspomnę, że parę godzin próby kosztuje wiele zdrowia i nerwów. Gdy kat w osobie reżysera każe bez końca powtarzać sceny, nie uznaje zmęczenia i jest ze wszystkich niezadowolony, życie wydaje się beznadziejnie czarne.

— Odjazd! — Następuje X-godzinne, zależne od pręsterzoni, trzesienie się autobusem, który idzie na t.zw. słowo honoru. Jazda odbywa się w każdych warunkach: w upał, podczas deszczu, w dzień i w nocy bez świateł. Dojeżdża się do teatru. Następują prośby o zimną wodę, lub gorącą herbatę, ażeby obmyć kurz, rozgrzać się...

„... Właśnie nie ma. Zabrakło. Jeszcze nie przywieźli”. Natomiast „teatr” przedstawia się bardzo interesująco. Albo (tak jak to było) w nieopalonej budzie w Tockoje, gdzie „aniołkom” w „Pastorałkach” marżyły gołe ręce i ramiona, a paniasta grał w wełnianych rękawiczkach, albo na pustyni, w Iraku, Palestynie, Egipcie, gdzie hamsin wtłaczał do gardła śpiewaczki kłęby piasku, albo, ostatnio, gdy deszcz przeciekający przez rozbity dach, moczył suknie i pantofle i była na to jedyna rada udzielona przez kierownictwo: „grać, nałożyć na siebie, wyschnie”.

Jest bardzo przyjemnie zagrać raz w amatorskim przedstawieniu. Potem, mając za sobą treść i podenerwowanie, można miesiącami wspominać miłe zdarzenie. W teatrach zawodowych każde przedstawienie jest ponownym publicznym egzaminem. Egzaminem z uzdolnienia, werwy, warunków zewnętrznych i t.d. Proszę spróbować składać egzamin codziennie. (Trochę statystyki. Teatr dramatyczny A.P.W. za 18 miesięcy swego istnienia dał 200 przedstawień. Uwzględniając nieużyteczny czas przeznaczony na przejazdy z kraju do kraju i na zmiany m.p., na urlopy, wypełnia po cztery przedstawienia tygodniowo). Względnie łatwo można zastąpić kandydatkę, pielęgniarkę, kancelistkę, ale w przedstawieniu zastępstwa są czymś wyjątkowo rzadkim. Nie ma kim i nie ma czasu. Otóż jedna z aktorek-ochotniczek,



„Wesele Śląskie“: czepiny. Od lewej — J. Domańska, Z. Kwiatkowska, J. Butscherowa, J. Jasińska, H. Wdowińska, W. Baczyńska

miała podczas przedstawień ataki malarii. Doprowadzono ją do kulis i czekali, aż odegra swoją scenę, ażeby ją czym prędzej położyć na teatralnej (to znaczy bardzo twardej) sofie. Nawiasem mówiąc, ta sama artystka, mdlejąc po odegranej scenie, zdążyła wyszeptać kolegom dopiero co usłyszaną wiadomość: „Pantelaria zdobyta...”.

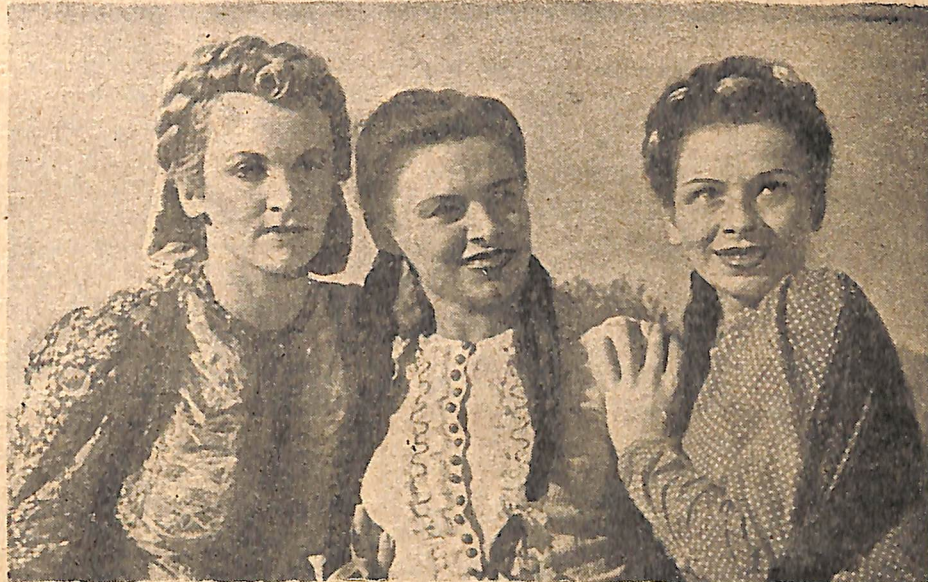
Podobnych przykładów możnaby cytować większą ilość. Nie chodzi jednak o to, że ktoś zdobył się na wyjątkowy wysiłek; wysiłek aktorki, nużący fizycznie i nerwowo (w szóstym roku wojny!) jest w teatrze wysiłkiem codziennym. 30 osobowy zespół ma zawsze pewien procent chorych. Ale stać nie można! (Jeszcze trochę statystyki. Ten sam teatr dramatyczny na 200 przedstawień miał tylko 3 zerwane z powodu chorób w zespole). Zachorował fryzjer — same panie zabierają się do trudnej sztuki zakładania peruk; zachorowała krawcowa — same muszą wynaleźć, rozwinąć, upiąć, a potem złożyć i ułożyć kostiumy. A nie jest to bagatela, gdyż podczas przedstawienia, należy myśleć wyłącznie o graniu!

Publiczność na każdym przedstawieniu reaguje inaczej. Bywa rozbawiona, lub sztywna, milczy lub gwizdże... „Dziś należy grać mocniej! Krzyżeć! Bo złe warunki akustyczne, wiatr, bo już krzyżczeli z widowni — głośniej!” Należy opanować nerwy i nie przejmować się, gdy jakiś wesoło usposobiony widz jakimś powiedzonkiem zareaguje na przedstawienie, lub krzyknie, że już to widział. Taki pan niedawno powrócił do oddziału. Widział to samo w szpitalu i nie może zrozumieć, że całość oddziału też chce zobaczyć przedstawienie. Są oddziały, które trudno było dopaść, dogonić. Stamtąd słyszy się narzekania, że teatry nie nie robią, że nigdy ich nie widać i t.p. Sztuka idzie przeciętnie 30-50 razy, a 2-3 miesiące wścieklej pracy wymaga przygotowanie nowej premiery. Krzykacze z widowni nie chcą o tym wiedzieć. Po skończonym przedstawieniu, gdy reakcja ogarnia wyczerpany organizm, należy prędko przebrać się i rozcharakteryzować. Maszyniści muszą zabrać, załadować paki z kostiumami, zdemontować oświetlenie.

Są bardzo miłe kolacje w oddziałach. Ale, czy wobec gościnnych gospodarzy można przyznać się do zmęczenia, narzekać na znużenie? Nie, jest to dalszy ciąg przedstawienia, w dalszym ciągu artystka jest na cenzurowanym i dopiero w „luksusowym” klekocie można odpocząć.

Autobus się trzęsie... w zmęczonych głowach chaos... „... Jutro próba... przegląd mundurów... dyżur... zaczerpnąć pończochę... jak brzmi ten tekst roli? Nie chce wejść do głowy... Zimno... boli gardło... nie mam listu... dziś przyjemnie się grało... cieszyli się na przedstawieniu i dobrze reagowali... nie gwizdali... dziś dobrze poszło... teatr to wielka rzecz... ten reżyser, jutro... ale ja mu powiem!... Jeszcze daleko do domu... pić się chce...”.

A w domu? Tak, jak to już zaznaczyliśmy. Wodę trzeba przynieść. Nie ma światła. Upał, lub zimno. Jutro próba. Trzeba popracować nad rolą.



„Wesele Śląskie” — O. Stankiewicz, J. Jasińska, (panna młoda) J. Jakubówna

Kiedyś, w dobrych cywilnych warunkach, artystka była wzorem mody. Dziś, artystka-ochotniczka P.S.K., jest tak samo na świeczniku, ale jakie są jej możliwości? Proszę mi wierzyć, że przesadna (z punktu widzenia rygoru wojskowego) dbałość o swój wygląd zewnętrzny kosztuje dużo zabiegów i trudu, a ma to samo źródło przedwojenne — artystka jest kobietą ogladaną wyjątkowo krytycznie. Proszę dołączyć do tego wszystkiego życie wojskowe ochotni-

czki-artystki, wszystkim znane meldunki, fasunki, trochę musztry, jej życie rodzinne, ma męża, ojca, rodzinę w Kraju; jej życie codzienne, pranie, szycie, choroby i troski... z tego ułoży się sylwetka zmęczonej dziewczyny, o nerwach starganych podwójnie (bo i z racji swego zawodu), która nieraz śmieje się na scenie, wtedy gdy chce płakać, śpiewa i tańczy, wtedy gdy wolałaby uciec od ludzi i trochę odpocząć.

I. I.

## Listy do Redakcji

### Innym do naśladowania

Szanowna Redakcjo!

Cheemy się podzielić z czymś, co bardzo nas cieszy i co może zechcą naśladować inne oddziały P.S.K.:

Przed rokiem większość dziewcząt z naszego plutonu opuściło z żalem szkołę junaczek. Te starsze, które zdały maturę, marzyły o uniwersytecie, snuły plany o pracy zawodowej już w wolnej Polsce. Los chciał inaczej. Zostałyśmy przydzielone na kurs łączności.

— Trudno — wojna — powiedziałyśmy sobie, znajdując pocieszenie w tym,

że się jednak czegoś uczyć będziemy, że sztuka rozwijania niewidocznej pajęczyny, łączącej krańce świata też jest coś warta. A zwłaszcza to, że est to praca dla wojska.

To też z gorącym entuzjazmem przyjęłyśmy wiadomość o tym, że pojedziemy razem z wojskiem, by łączyć oddziały za pomocą płynącej na falach eteru melodii każdej wystukanej przez nas litery. Pokochałyśmy swoje radiostacje i zrozumiałyśmy niezmierną doniosłość pełnionego zadania.

Jakaż rozpacz w sercu, gdy słysza-



„Wesele Śląskie” — druhnny

ność „raz” i nie można odebrać, czy nadać pilnego telegramu. Ież przeżywa dziewczyna, pracując nad wyłowieniem z pośród tysiąca jednakowych prawie dźwięków tego, który do niej tylko jest skierowany. A ile to nerwów kosztuje wpadający nie raz na fale kołowrotek niemiecki. A jaka straszna jest noc, gdy siedzisz sama i lada stuk płynący z zewnątrz nasuwa ci myśl o dywersji, gdy przed szyfrantką skaczą liczby zamieniając się w dziwaczne istoty wyciągające ręce po tak bardzo ważne „tejoty”.

To nie narzekania. Ja tylko chcę, by wszyscy, którzy nie znają pracy dziewcząt noszących niebiesko-czarne paski, zrozumieli, że nie jest ona, ani tak bardzo prosta, ani łatwa, że wymaga, prócz fachowego przygotowania, pewności siebie, szybkiej orientacji, dużo spokoju i opanowania, że jest bardzo odpowiedzialna i bardzo silnych nerwów do niej potrzeba.

Wszystkie młode dziewczęta w łączności pracują z pełnym zrozumieniem. Wiedzą one jednak, że w przyszłości Ojczyzna czegoś więcej będzie od nich wymagała, że wróg wyniszczył inteligencję narodu, że od nich zależy Młoda Polska.

Mamy dziwną opinię rozbawionych „pestek”. A nikt nie wie o tym, że te lekko podmalowane, w wyprasowanych pięknie mundurach najstarsze radiotelegrafistki spieszyły nie na dancng, tylko na wykład założonego dla nich „latającego uniwersytetu”. Gdzieś w prywatnym mieszkaniu pana inżyniera R., znany ekonomista rozszerzał horyzont myśli zasłuchanych dziewcząt. A potem dyskusja trwała do późnej nocy w sali radiotelegrafistek.

Wojna nie sprzyja nauce. „Latający uniwersytet” musiał więc przerwać tak

ładnie rozpoczętą pracę, ale rozżarzona iskra chęci zdobywania wiedzy nie zgasła, lecz rozpalona jasnym płomieniem wybuchła na terenie całego plutonu.

I teraz 50 % dziewcząt zapisało się na kurs dokształcający. Kurs zupełnie oficjalny. Dzieło Propagandy, które po kilku miesiącach pozwoli chętnym zdać małą, lub nawet dużą maturę.

Dziś wejść do pokoju ochotniczki z łączności, a wszędzie zobaczysz mnóstwo książek i zatopione w nich główki. To nie, że miała w nocy dyżur, że słyszy jeszcze ciągle melodie przyjmowanych cyfr, lub widzi treść z trudem odszyfrowanych depeesz. Ona nie może być zmęczona, dziś jeszcze musi zgłębić okres „Piaśców”, własności wodoru i tlenu.

Zapał ogarnął wszystkie. Młodsze uczą się z zadziwiającą pilnością, starsze służą chętną pomocą. Stworzyłyśmy szkołę. Na lekcje przychodzą dwie, trzy uczennice z danej klasy i „pani profesorka” starsza, czująca się silniejsza w danym przedmiocie. Trudności mamy ogromne, i my wykładowczynie i nasze uczennice, bo chociaż 11 batalion łączności, jak dobry Tata stara się o książki, to jednak stale mamy ich zbyt mało.

Przecież pluton jest rozrzucony, a niemożliwe jest skupić jedną klasę w jednej sekcji. Podręczniki więc krążą od stacji do stacji witane radośnie, oddawane z głębokim żalem.

Czując jednak poparcie przełożonych, wierzymy, że nasza praca nad sobą, przy ciężkich obowiązkach wojskowego zawodu, nie pójdzie na marne i w wyniku wzbogaci społeczeństwo o kilkadziesiąt dziewcząt gotowych do studiów uniwersyteckich, lub twórczej, inteligentnej pracy dla Państwa.

*Stanisława Rajkowska*

### „Wielka Tajemnica” dzieł w Kraju

W wychodzącym w Kraju tajnym piśmie dla dzieci, „Biedronka”, znajdujemy „Pytania-Wskazania” dla dzieci polskich, pouczające i nawołujące do udziału w pracy, w miarę własnych sił i możliwości, dla sprawy polskiej:

„Jeżeli cię dopuszczono do tajemnicy — lub sam mimo woli dowiedziałeś się o tym, co w twoim domu, lub u innych robi się tajnie przeciw Niemcom, dla wywalenia Polsce wolności — wiedz, że stałeś się przez to członkiem Wielkiej Tajemnicy i masz umieć milczeć o tym, jak grób, bo każdym słowem, które piśniesz, szkodzisz Ojczyźnie swej. Nie staraj się sam niczego dowiedzieć o tajnej pracy starszych, bo lepiej, gdy dzieci teraz o tej pracy nie wiedzą, aby starsi na wypadek nieszczęścia mogli być spokojni, że dzieci nie powiedzą, bo nie wiedziały.

„Czy wyręczasz w pracy starszego brata, gdy musi wychodzić z domu dla swej tajnej pracy dla Polski?

„Czy znasz dobrze granice Polski i umiesz je na pamięć i czy narysujesz kontury mapy Polski? Jeśli umiesz, pytaj o to inne dzieci i ucz je tego.

„Jakie ziemie musimy otrzymać od Niemców po zakończeniu wojny?

„Czy w domu czytacie głośno książki rodzicom i rodzeństwu? Jeśli nie, to dlaczego? Koniecznie, zaraz, od dziś to róbcie, bo tego sprawa Polski wymaga”.

### Ochotniczki z Meksyku

W osiedlu Santa Rosa (Meksyk) zgłosiło się 81 dziewcząt w wieku od 20 do 30 lat do Służby Pomocniczej Kobiet, a pierwsza grupa w liczbie 22 osób udała się w dniu 25 czerwca do obozu P. S. K. w Kitchener — Kanada.

Władze meksykańskie, jak zawsze życzliwe dla spraw polskich, dołożyły wszystkich starań, by ułatwić wszelkie formalności przejazdowe i dostarczyły naszym dzielnym siostrzom specjalnego wagonu kolejowego do ich wyłącznej dyspozycji. Władze amerykańskie i kanadyjskie udzieliły wszelkich ułatwień.

Grupę konwojowała do granicy kanadyjskiej p. Karolina Sławińska, Polka — Amerykanka, stale przebywająca w Santa Rosa, z ramienia Społecznej Organizacji w U. S. A. N. C. W. C., aż od granicy kanadyjskiej zajmował się kierownictwem Konsul R. P. p. Herse z Toronto, by następnie ochotniczki oddać w doświadczone ręce Kierowniczkii Obozu w Kitchener, p. Marii Pinińskiej

Na drodze przejazdu transportu zawiązały się komitety przyjęć. Bardzo miłym gestem wobec uczestniczek było zaproszenie ich przez Radę Polonii do Chicago; niestety zaproszenie to nie mogło być wykonane wobec ostatecznego terminu przekroczenia granicy w dniu 28 czerwca r. b.

Pisma amerykańskie „Excelsior”, „National”, „Prensa” i „Todo” zamieściły bardzo ciepłe artykuły i notatki, zaopatrzone w fotografie naszych Polek i życząc im całkowitego zrealizowania ich planów: powrotu w chwałę spełnionego obowiązku do męczeńskiej Ojczyzny.

## KRONIKA

### Na fundusz pomocy dla Warszawy

Z okazji imienin Inspektorki Służby Zdrowia Jadwigi Żylińskiej, złożyły: siostry i ochotniczki P.S.K. 162 Szpitala Wojennego — 15 funtów, 5 szylingów, siostry i ochotniczki P.S.K. 161 Szpitala — 22 funty 10 szylingów, Kompania Sanitarna P.S.K. 3 Szpitala Wojennego — 55 funtów.

Z okazji imienin Komendantki P.S.K. 161 Szpitala Wojennego, Jadwigi Makłowicz, złożyła Kompania P.S.K. 18 i pół funta.

Powyżej wymienione sumy przeznaczyły siostry i ochotniczki P.S.K. na pomoc ludności Warszawy.

### 2 Korpus dla Warszawy

Do kasy Polskiego Czerwonego Krzyża w Londynie wpłynęła w dniu 12 września kwota 87.500 funtów zebrana wśród oficerów, żołnierzy i ochotniczek P.S.K. 2 Korpusu na pomoc walczącym i ludności w Warszawie. Zarząd Główny P.C.K. składa publiczne podziękowanie i oświadcza, że dołoży wszelkich starań, aby udzielona pomoc doszła jak najszybciej do potrzebujących.

### Komitet pomocy rannym żołnierzom przy 7 D.P.

Jako nowość, bardzo mile przyjętą przez pacjentów, wprowadzono składanie życzeń imiennowych przez delegacje ochotniczek P.S.K., które jednocześnie ofiarowują solenizantom kwiaty i drobne upominki. Niezależnie od bezpośredniej opieki nad rannymi i chorymi żołnierzami, zainteresowały się ochotniczki rodzinami, pisząc listy dla ciężko rannych, wysyłając paczki i zapomogi pieniężne rodzinom pozostałym w Rosji.

Przesyłanie pieniędzy i paczek załatwia się za pośrednictwem Poselstwa w Teheranie i Poselstwa Australijskiego w Moskwie. W kilku wypadkach Poselstwo Australijskie zawiadomiło o doręczeniu paczek i pieniędzy, co dodatnio wpłynęło na samopoczucie rannych i chorych.

Niniejszy numer „Ochotniczki”

zawiera 28 str.